

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Kontynuujemy cykl wspomnień Dominika zawartych na kartach jego bogatego rękopisu. W tej części zapoznamy czytelników z początkiem jego trudnej i długiej drogi edukacji. Prowadziła ona od szkoły ludowej w Urzędowie w latach 1903–1905, poprzez urzędowskie progimnazjum od 1907 do 1911 r., a na koniec Seminarium Nauczycielskie w Ursynowie k. Warszawy. Pierwszy etap jego nauki w szkole elementarnej opisany dość szczegółowo pozwoli nam poznać nie tylko sposób i zakres przekazywania wiedzy uczniom, ale całą atmosferę tworzoną przez społeczność urzędowską na początku XX wieku. W przekazanych nam opisach ożywają scenki rodzajowe z życia rodziny, sąsiadów, miasteczka i szkoły.

W szkole ludowej

Pierwsze dni listopada 1903 r. Na jarmark w Urzędowie wybraliśmy się we troje: ojciec, matka i ja. Rodzice mają mi kupić ubranie i buty, bo mam iść do prawdziwej szkoły.

Podeszliśmy najpierw do straganu z obuwiem. Na wieszaku kupiec Żyd rozwiesił małej, średniej i bardzo dużej wielkości buty. Matka wybrała odpowiednią parę z cholewami. Przymierzyłem but z prawej nogi. Rodzice obejrżeli dokładnie obuwanie i zapytali o cenę. Kupiec zadowolony podał 2 ruble i 50 kopiejek. Matka usłyszawszy wysokość ceny zachnęła się i chciała oddać kupcowi buty, że takie małe a takie drogie. Kupiec pyta, a ile może ona dać. Padła odpowiedź: 1 rubel 50 kopiejek. Kupiec: za takie buty z najlepszej skóry? Mogę sprzedać za 2 ruble i 30 kop. Matka: jeden but jest zrobiony z jaśniejszej skóry, drugi zaś z ciemniejszej. Możemy najwyżej zapłacić 1 rub. i 75 kop. Targowali się, przekonywali. W końcu doszli do zgody: 2 ruble. Kupiec udawał niezadowolony, że otrzymał niską cenę. Z rezygnacją powiada, że buty sprzedaje ze stratą, ale niech już i tak będzie, niech „kawaler nosi je na zdrowie”. Więc buty już mam. Przewiesiłem buty na ramieniu, tak że jeden but zwisał z przodu a drugi z tyłu. Zatrzymaliśmy się przy straganie z ubraniami. Matka wybrała odpowiednie palto. Przymierzyłem, rękawy były cokolwiek za długie a poły sięgały poniżej kolan. Chcieliśmy kupić inne, ale ojciec sprzeciwił się. Uważał palto za dobre, a że jest za duże, to nic. Palto musi być takie „na wyrost”. Ja byłem temu przeciwny, ale ojciec nie liczył się z moim zdaniem. I znowu zaczęły się starym zwyczajem targi. Kupiec oddał palto za 2 ruble 40 kopiejek. Żyd znowu to samo, że „sprzedaje na straty, ale niech tam synek nosi na zdrowie”. Kupno ubrania nie doszło do skutku, gdyż ojciec oznajmił, że mu pieniędzy nie wystarczy. Zresztą teraz będzie zima, a z nowym ubranie wstrzymamy się do wiosny. Wiedziałem, że ojciec ma jeszcze pieniądze, ale przez oszczędność graniczącą ze skąpstwem więcej pieniędzy wydać nie może. Matka kupiła mi za 1 kopiejkę

(2 grosze) bułkę i wyprawiła mnie do domu, gdyż rodzice musieli jeszcze zostać w „mieście”, aby uregulować jesienne podatki. Po powrocie do domu jeszcze kilka razy przymierzyłem buty. Byłem zadowolony ze sprawunku.

Po kilku dniach matka oznajmiła mi, że jutro idziemy zapisać się do szkoły. Ucieszyłem się tą wiadomością. Nie mogłem doczekać się ranka. Sąsiadka doradziła matce, że trzeba nauczycielowi dać jakiś upominek. Ale co? Jajka sprzedawała, aby móc kupić sól, a sera i masła nie miała, gdyż wszystko mleko zużytkowała na przygotowanie śniadania i obiadu. Serek i masło trochę mogła mieć tylko w Wielkim Poście, gdyż wszyscy pościliśmy. Jedzenie przygotowywała, używając tylko oleju lnianego lub rzepakowego. Mleka używaliśmy wyjątkowo – tylko w niedzielę, i to nie każdą. Więc wzięła pod pachę kilka największych główek kapusty i wianek cebuli, a wzięwszy mnie za rękę pomaszerowaliśmy we dwoje do „miasta” do szkoły. Nauczyciel był już w klasie. Moja mama wstąpiła do kuchni i oddała „prezent” żonie nauczyciela, a w zamian otrzymała karteczkę z kilkoma wyrazami. Tę karteczkę dała mnie, abym ją wręczył „panu profesorowi”, co natychmiast uczyniłem po wejściu do izby szkolnej. „Pan” dyskretnie się uśmiechnął i posadził mnie na trzecim miejscu w czwartej ławce od przejścia między ławkami. W dzienniku zapisał moje personalia. Z tym zapisem miałem duży kłopot. Na zapytanie „Kak twoja familia?” z imieniem nie miałem kłopotu, ale z tą familią było gorzej, bo nie wiedziałem czy mam mówić o ojcu, matce, siostrze czy bracie. Z pomocą przyszedł mi mój sąsiad, który szepnął mi „Powiedz swoje nazwisko”, co szybko poczyniłem i dobitnie powiedziałem „Wośko”. No to już po wszystkim. Jestem uczniem. Nauczyciel przystąpił do swoich czynności. Zaczęło się od modlitwy. Nauczyciel rzekł: „Nitka naczynaj”. Wstał więc Nitka, syn policjanta, i wyrecytował modlitwę przed nauką po rosyjsku, a potem „Ty Saszka”. Poderwał się na nogi nie żaden Saszka, a Oleś Gruchalski, który wyrecytował bez żadnego zająknięcia modlitwę po polsku. Przez ten czas staliśmy wszyscy „na bacznosc”. Tylko 2 żydków i 3 żydówki zaczęli naukę bez żadnej modlitwy (a może tylko myślał się modlili).

Nauczyciel porozdawał pracę uczniom wstępnego oddziału, I, II i III-go. Teraz dopiero przystąpił do nauki głównej z IV oddziałem. W czasie przerwy razem z innymi dziećmi wyszedłem na plac przed szkołą. Po krótkiej przerwie nauczyciel zastukał linia w okno. Na ten głos wszyscy uczniowie rzucili się do drzwi prowadzących do przedpokoju i klasy. Nie mając żadnego zajęcia, jeszcze raz, ale dokładniej zapoznałem się z izbą szkolną. W klasie były ustawione długie ławki na 8 uczniów w trzech rzędach. W rogu sali przy drzwiach stała szkolna szafa a w niej były książki, atrament, pióro i dziennik. W rogu pod sufitem była „ikona” (obraz) ze św. Mikołajem. Za

naszymi plecami (twarzą byliśmy zwrócenii do drzwi wejściowych) wisiał portret z carem Aleksandrem II i Mikołajem II obecnie panującym w Rosji. W suficie był otwór wywietrznika. Przy ścianie wejściowej po lewej stronie była tablica szkolna, a po drugiej stronie piec przy tej samej ścianie. W każdej z trzech ścian było po 2 okna. Na drugiej lekcji nauczyciel pracował głośno z oddziałem III-cim, a inne oddziały miały ciche zajęcia. Wyraz „ciche” oznaczał dosłownie ciszę. Nikt z miejsca się nie mógł ruszyć i ani słowa choćby nawet szeptem powiedzieć. O skutkach naruszenia ciszy dużo mogłaby powiedzieć, gdyby mogła mówić, linia dębowa, masywnie wzmocniona w środku lekko widoczną przy brzegach blachą. Uczniowie z niecierpliwością czekali na drugą przerwę, aby wyprostować kończyny. W czasie drugiej przerwy i następnych poznałem otoczenie szkoły. Szkoła była zbudowana z drewna. Wewnętrzne ściany były otynkowane, a zewnętrzne bielone wapnem. Składała się z 2 równych części przedzielonych krótkim korytarzem. W pierwszej prawej części była duża izba szkolna, a w drugiej 2 pokoje nauczyciela, na przedłużeniu zaś korytarza była kuchnia. Do korytarza wchodziło się przez ganek z dachem podpartym dwoma pionowymi słupami. Na trójkątnym szczycie daszka był umieszczony szyld z rosyjskim napisem „Urzędowskie Narodnoje Uczyliszczaz w Urzędowie”. Napis ten był zwieńczony czarnym dwugłowym orłem.

Szkoła ta była usytuowana w pobliżu kościoła. Małe brudne podwórko oddzielało ją od muru otaczającego cmentarz kościelny. W głębi podwórka był jeden ustęp o jednym oczku na tak dużą liczbę uczniów obojga płci. Na przerwę najpierw nauczyciel wypuszczał dziewczyny, a w parę minut za nimi chłopców. Nawiasem należy dodać, że ustęp był brudny, a niekiedy przepelniony ekskrementami. Na placu przed szkołą były wkopane 4 słupki u wierzchu połączone mocną belką, od której spuszczone były 2 cienkie, śliskie drażki (5 m długości). Na tych słupach, drażkach i belce wyżywali się chłopcy w czasie pauzy. Po trzech godzinach nauki była półgodzinna przerwa, w czasie której blisko mieszkający uczniowie mogli pobiegnąć do domu i posilić się po tak „wyczerpującej” pracy. Po tej długiej przerwie znów przez 2 godziny odbywały się lekcje. Głośno I, II oddział. Po skończonym pracowitym dniu wracam do domu z Antkiem Krasińskim. Prosiłem go, aby mi pomógł zaopatrzyć się w odpowiednie pomoce naukowe. Dowiedziałem się, że książkę do nauki języka polskiego i do nauki języka rosyjskiego można kupić u nauczyciela, a tabliczkę łupkową w drewnianej ramce i rysik u Abramka, który miał sklep z różnymi towarami na rogu rynku i ul. Wałowej naprzeciwko apteki Michalewskiego. Około godz. 15 zjadłem z wilczym apetytem obiad. Wieczorem poprosiłem ojca o pieniądze na kupno pomocy naukowych. Ojciec chętnie dał mi całego rubla, za którego nazajutrz kupiłem sobie potrzebne mi do nauki rzeczy. Po kilka razy wszystko przeglądałem. Matka też bardzo się cieszyła razem ze mną. Nie lubiłem patrzeć na ostatnią kartkę rosyjskiej książki, gdzie był dwugłowy orzeł z otworzonymi dziobami przypominającymi jakieś haki oraz czarny Michał Archanioł...

Nauczyciel Paulson uczył dzieci w języku rosyjskim. W klasie też używał w rozmowie z dziećmi języka rosyjskiego. W jego obecności między sobą uczniowie obowiązywani byli używać języka państwowego.

Nie można było z nim nic załatwić w języku polskim. Udawał chyba, że nic nie rozumie i nie umie mówić po polsku, gdyż w przeciwnym razie nie mógłby udzielać nauki naszego języka i nauki religii po polsku. Nie stosował tu żadnego wykładu ani objaśnień odnoszących się do Starego i Nowego Testamentu. Wezwany uczeń musiał z pamięci recytować treść zadanej lekcji bez zająknięcia. W przeciwnym razie usłyszał jedno słowo: „na koleni” [klęczeć].

W ciągu jednej godziny cały piec był otoczony klęczącymi na oba kolana delikwentami. Nikt z uczniów nie słyszał ani pochwały, ani nagany, ani naprowadzających pytań w języku polskim.

Uczęszczał Dominik do szkoły przez okres jesieni, zimą i wczesną wiosną – tak pisze dalej:

Słońce grzeje coraz mocniej. Drzewa i krzewy okryły się zielonymi liśćmi i kwiatami. Zieleniły się również ugory, drogi, nieużytki. Gospodarze zaczynają wypędzać z obór stęsknione do świeżej zielonej paszy swoje krowy. Czas i na mnie. Ojciec przypomniał mi o moim obowiązku. Złożyłem swoje przybory do rańca [skrzyneczka na książki noszona na plecach, a zawieszana przez ramiona na sznurkach – dzisiejszy tornister, plecak], aby mi nic nie zginęło i nie przeszkadzało w domu. Nie czekając zakończenia roku szkolnego, do szkoły już nie poszedłem. A czego się nauczyłem przez ten okres?

Naukę z języka polskiego opanowałem tak, że na każdej polskiej książce mogłem bez żadnej pomocy przeczytać dowolnie wybrany tekst. Na swojej tabliczce umiałem pisać, ale czy ortograficznie tego stwierdzić trudno. Z arytmetyki opanowałem pisanie cyfr i 4 działania w zakresie 10 liczb. Z języka rosyjskiego umiałem powoli przeczytać i napisać łatwiejsze wyrazy. Jednym słowem, nie straciłem w szkole pięciomiesięcznego czasu. W szkole do końca roku szkolnego wytrwali ci uczniowie, którzy nie mieli co robić w domu, lub ci, którzy mieli zamiar dalej się uczyć.

Moje pierwsze wakacje były bardzo prozaiczne. Pasłem krowy od samego rana, a po parogodzinnej przerwie, która była wypełniona bawieniem Antosia, znów pasłem do samego wieczoru. Monotonia ta bardzo mnie nużyła i nudziła. Ponieważ za Piorunowym Dołem nie było łąbinu, tylko pięknie wyrosłe fałowało żyto, więc musiałem paść krowy na powrozach uczepionych do rogów krów, na drogach, miedzach i różnych nieutkaniach. Na tych skąpych w trawę pastwiskach krowy nie mogły należycie najeść się, więc z konieczności należało je dokarmiać w oborze różnymi chwastami, wyrzucanymi w zbożu, a najwięcej w kartoflach. Łaziłem po polu i zbierałem do płachty przewieszanej przez ramię paszę dla krów. Taka praca ciągnęła się całymi tygodniami aż do żniw. Po zbiorze zboża krowy wolno chodziły po ściernisku i wyskubywały sobie jedzenie. Wieczorami w maju śpiewaliśmy nabożne pieśni przy kapliczce przydrożnej na Bęczynie.

*Wybrał i przygotował do druku
Tadeusz Surdacki*

Izabella Kochanowska

Ostatni rozkaz cichociemnego majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”

Ostatni rozkaz cichociemnego to prośba majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, dowódcy zgrupowania oddziałów partyzanckich przy Inspektoracie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” w Lublinie, skierowana do mnie, „Błyskawicy”, jego łączniczki. Zbliżała się amnestia w 1947 roku i wielkimi krokami zima. Nadeszła dla mnie chwila decyzji o opuszczeniu oddziału partyzanckiego oraz rodzinnych stron. Jawiły mi się one szkieletem ścian bez dachu i chaszczami porośniętych zarosli w resztówce majątku ziemskiego moich rodziców – Łopienniku na Lubelszczyźnie. Postanowiłam wyjechać do Sopotu, gdzie wówczas mieszkali rodzice. Na pożegnanie „Zapora” zwrócił się do mnie z prośbą, żeby w przyszłości uwiecznić, udokumentować naszą wspólną walkę. Zdając to straszne odium bandytyzmu „zapłutych karłów reakcji”, dać świadectwo prawdzie. Wielkim jego zmartwieniem była myśl o tym, jaka będzie ocena ich walki w przyszłości. Mówił: „A może już nikt o nas nie wspomni i nawet nie będzie pamiętać, że walczyliśmy o wolność Ojczyzny, może określenie nas bandytami, wpajane społeczeństwu, pozostanie już na zawsze”. To go przerażało i bolało, nie dawało spokoju. Przeczynał tragiczny koniec swego życia.



**Autorka wspomnień
w roku 1945**

Poznaliśmy się w Łopienniku

Cichociemnego ppor. Hieronima Dekutowskiego „Zapora” poznałam w Łopienniku. Wieczorem podczas śnieżnej zimy 1944 r. podjechali pod nasz dom partyzanci z patrolu „Kordiana” Januarego Rusza – kadeta ze Lwowa. Trudno do dziś zapomnieć ten wspaniały nastrój w nocy, partyzanckie pieśni, śpiewane pięknymi głosami przy dźwiękach fortepianu. Byłam wtedy po przeszkoleniu w Wojskowej Służbie Kobiet i po złożeniu przysięgi AK, przydzielona do zadań w zakresie łączności i sanitariatu. Zapropnowałam wtedy komendantowi „Zaporze” dołączenie do jego oddziału partyzanckiego grupy młodych mężczyzn ukrywających się u nas i w najbliższej okolicy. Nie wykluczyłam mojego udziału w tej służbie. Wówczas jednak losy nasze potoczyły się innymi drogami. Sama znalazłam swoje miejsce w dalszej walce o niepodległość Ojczyzny, ale już w innej scenerii. Było to po reformie

rolnej i wysiedleniu mojej rodziny z Łopiennika. Zostałam na posterunku do końca roku 1946.

Cichociemny „Zapora” i „Odra”

Hieronim Dekutowski urodził się w 1918 r. w Tarnobrzegu. W szkole z wielkim zapalem związał się z harcerstwem. Zdobył wszystkie sprawności i stopień harcerza orlego. We wrześniu 1939 r. zgłosił się do wojska jako ochotnik, następnie przedarł się na Węgry, gdzie został internowany. Udało mu się jednak dotrzeć do Francji. Tam rozpoczął służbę w 2. dywizjonie strzelców pieszych i w Szkole Podchorążych. Ukończył ją jednak dopiero w Wielkiej Brytanii. Służył w 1. brygadzie strzelców. Następnie zgłosił swą gotowość do służby w kraju jako skoczek – cichociemny. Przeszedł wszechstronne przeszkolenie w ośrodku w Audley End: kurs strzelecki, naukę walki konspiracyjnej połączonej z dywersją i sabotażem. 4 marca 1943 r. złożył przysięgę taką samą, jak żołnierze AK w kraju. To oznaczało, że od momentu, w którym dotknął stopami polskiej ziemi, stawał się żołnierzem AK. Przybrał dwa pseudonimy: „Zapora” i „Odra”. Zawołaniem cichociemnych było hasło „Wywalczyć wolność, albo zginąć”. „Zapora” starał się od początku to zawołanie realizować. Na stację przeznaczenia dla grupy „Zapory” wybrano zrutowisko placówki odbiorczej „Garnek” w powiecie pułtuskim. Po skoku w nocy z 16 na 17 września 1943 r. i pobycie w Warszawie u tzw. ciotek, ppor. „Zapora” przeszedł chrzest bojowy na stanowisku dowódcy 4. kompanii 9. pułku piechoty w Inspektoracie Zamość. Kompania ta dokonała ataku na uzbrojoną i ufortyfikowaną wieś Żrebce, zamieszkaną przez niemieckich osadników. W końcu stycznia na podstawie rozkazu komendanta Okręgu Lubelskiego „Zapora” objął dowództwo dyspozycyjnego oddziału lotnego Kedywu Inspektoratu Lublin–Puławy, okręg partyzancki 8. Oddział liczył kilka sekcji: minerską, administracyjną, gospodarczą, zwiad konny i drużynę rezerwową, ośrodek szkolenia i pomocy medycznej. Oddział ten dokonał około 80 akcji zbrojnych o różnym charakterze: zwalczanie niemieckich punktów oporu, służb i obozów budowlanych, starć przypadkowych, ale także akcji sabotażowo-dywersyjnych, takich jak kolejowe, na mosty, przepusty drogowe, rekwizycyjno-gospodarcze, zwalczanie konfidentów.

Wszystkie akcje „Zapora” przeprowadzał starannie, przy minimalnych stratach własnych, z dobrym rozeznaniem i optymalnym wykorzystaniem czynnika zaskoczenia. 21 sierpnia 1944 r. szedł na pomoc Warszawie, jednak bez powodzenia, a następnie przeszedł

marszem ubezpieczonym w rejon Zalesia koło Bełżyc, lawirując między jednostkami sowieckimi. Tam, zgodnie z rozkazem komendanta Okręgu Lubelskiego płk. Kazimierza Tumidajskiego „Marcina” z 27 lipca 1944 r., rozwiązał oddział, podziękował partyzantom za służbę i zabezpieczył broń. Sam nadal pozostał w konspiracji. Po wyparciu Niemców i objęciu terenów przez wojska sowieckie posypała się lawina aresztowań, wyroków śmierci, wywózek do łagrów. Ofiarami represji byli przede wszystkim członkowie AK. NKWD miało szczegółowe listy i doskonale rozeznanie wśród swych przyszłych ofiar. Zamek Lubelski przeżywał nowe mordy i kaźnie. Jeszcze nie obeschła dawna krew, a już oprawcy przystąpili do dzieła wyniszczania najlepszych synów ojczyzny. Cała Lubelszczyzna tonęła w rozpacz i poczuciu zagrożenia życia AK-owskich partyzantów. Zaczęły topnieć struktury organizacyjne Okręgu Lublin. Wśród służb Komendy Dowództwa pojawiła się osoba współpracująca z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego. Była to łączniczka Komendy Dowództwa Okręgu Helena Moor „Lena”. Doprowadziło to do aresztowania 21 marca 1945 r. całego sztabu Okręgu AK, a w rezultacie do rozbicia tej Komendy, odtwarzanej przez cichociemnych na przełomie 1944 i 1945 r.

Amnestia

W pierwszych miesiącach 1945 r. „Zapora” zorganizował zgrupowanie niedobitków leśnych oddziałów w oparciu o podległe mu w przeszłości patrole oraz inne po-AK-owskie oddziały partyzanckie. Nawiązał kontakt z Komendą Okręgu Lublin i zwołał odprawę dowódców ukrywających się grup. Ich celem stała się samoobrona i dalsza walka o niepodległość. Już w lutym 1945 r. oddział „Zapory” przeprowadził akcję odwetową za mord na AK-owcach na posterunku Milicji Obywatelskiej w Chodlu. Następnie dowodził akcjami rozbijania posterunków MO i likwidacji jednostek aparatu bezpieczeństwa PKWN. Były to posterunki w Bełżcach, Józefowie, Polichnie Dużej i Kazimierzu, gdzie „Zapora” osobiście montował na tyczce ładunek wybuchowy z angielskiego plastyku, zaś sekcja minerska obrzucała granatami wejście i ruszyła do ataku. Ukrywający się na piętrze milicjanci byli zszokowani. W Bęczynie, Urzędowie, zwanym małym Londynem, każdy dom był kwaterą „Zapory”. W czasie jednej z obław tzw. resortu, kiedy milicjanci pędzili pod lufami mieszkańców wsi i demolowali domostwa a oprawcy bili sztchetami i drągami schwytanych partyzantów „Zapora” walczył z nimi jak szatan: kopał nogami, skakał po piersi, wielu położył trupem. Kiedy został ranny, uratował go „Miś” z Wołynia, który wyniósł go z pola walki. 1 czerwca 1945 r. rozkazem Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj „Zapora” został awansowany do stopnia majora. Do jego oddziałów dołączyli dezertjerzy z Ludowego Wojska Polskiego oraz oddziały NSZ dowodzone przez „Cichego” (Stanisława Piotrowskiego). Po amnestii dla żołnierzy podziemia, ogłoszonej 22 lipca 1945 r., na rozkaz „Radosława” „Zapora” ujawnił większość swoich ludzi, zabezpieczył część broni, sam jednak pozostał w konspiracji i ukrywał się. Postanowił

przedrzeć się na Zachód. Dwukrotne próby nie udały się. Pierwsza to przeprawa przez Wisłę w Janowcu. W czasie walk w Słupi i Świętym Krzyżu nastąpiło rozbiecie grupy. Druga wyprawa dwunastu ludzi miała przejść przez Czechosłowację, ale tam nastąpiły aresztowania przez czeską bezpiekę. Ostatecznie ocalili tylko dwaj: „Zapora” i „George”, zakopani w stogu siana. Potem szukali ratunku dla zatrzymanych kolegów w ambasadzie amerykańskiej, ale spotkali się z odmową. Musieli wracać do kraju, podali się za repatriantów z Niemiec.



„Zapora” z towarzyszami broni

WiN – wierni testamentowi Polski Walczącej

W miejsce Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj 2 sierpnia 1945 r. powstała nowa organizacja – Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” (WiN). Ruch ten pozostał wierny testamentowi Polski Walczącej i uchwałom programowym Rządu Jedności Narodowej. Powstało wówczas zgrupowanie oddziałów partyzanckich „Zapory” przy Inspektoracie Zrzeszenia WiN w Lublinie. Prowadziło ono dalej akcje dywersyjne i samoobronne na terenach Lubelskiego, Tarnobrzeskiego, Rzeszowskiego, Kieleckiego, Zamojskiego, Warszawskiego i Radomskiego. Ludzie „Zapory” wykonali ponad 60 akcji. „Zapora” pragnął działać sprawnie. Na nowo zorganizował sieć wywiadowczą i łączność, odbudowywał placówki. Zaistniało morze trosk i kłopotów w tej nowej rzeczywistości. Piętrzyły się wielkie trudności, przede wszystkim przez brak zrozumienia u przełożonych. Partyzanci byli narażeni na kotły okrążające, organizowane przez bezpiekę. Musieli ratować się ciągłymi przerzutami w terenie, z kwatery na kwaterę. Odbywali długie i wyczerpujące marsze w nocy. Partyzantka istniała tylko dzięki pomocy ludności wiejskiej, która była narażona na wielkie represje, duże wyroki sądowe i przepadek mienia. Dlatego starano się unikać kwatery i bazować w bunkrach budowanych w leśnym podszyściu. „Zapora” miał szczególny talent, można powiedzieć charyzmę, w obcowaniu z ludźmi. Do walki z „Zaporą” zaangażowane zostały trzy dywizje piechoty i kilka batalionów KBW. Wszyscy aresztowani poddawani byli okrutnym torturom. Przez więzienia i areszty przewinęło się około 100 tysięcy osób. Co piąty wyrok skazujący był wyrokiem śmierci. Dla porównania

trzeba dodać, że w okresie okupacji niemieckiej zginęło w walce z bronią w ręku 14 żołnierzy „Zapory”, a na tablicy–pomniku pod Zamkiem w Lublinie wyryto około 240 nazwisk. Tylu żołnierzy poniosło śmierć w czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej. W lipcu 1946 r. „Zapora” szedł z „Rysiem” za rzekę Wieprz na spotkanie z „Uskokiem”. Wywiązała się strzelanina, nastąpiła oblawa, z której „Zapora” i „Uskok” wyprowadzili ludzi do zakończonego pasmem bagien Radzica. Zginął wtedy adiutant „Zapory” „Zbyszek” (Sochacki). Następnie wyprawił się za San, gdzie doszło do walk we wsi Świtaki, Świnki i w Lasach Janowskich. Wracając na macierzyste kwatery 23/24 września 1946 r. oddział został ostrzelany przez ORMO z bunkrów. „Zapora” dał rozkaz do walki. W Inspektoracie WiN w Lublinie do lutego 1946 r. funkcję inspektora pełnił Roman Jezion „Jung”. Po aresztowaniu – kara śmierci. Następny – Franciszek Abraszewski „Boruta” – też skazany na śmierć. Kolejny Inspektor „Stefan” wydał rozkaz wstrzymania wszystkich akcji zaczepnych przeciwko UB i KBW. Nastąpiła druga amnestia w listopadzie 1947 r. Jednak każde ujawnienie tworzyło nową ewidencję kadr konspiracji, stratę oddanej broni i w konsekwencji ponowne aresztowania. Nastąpił szereg spotkań inspektora WiN „Stefana” (Władysław Siła-Nowicki) i „Zapory” z oficerami UB. Poruszono sprawę zwolnienia skazanych na śmierć, przebywających w więzieniach i aresztach. Sprawa amnestii nie była łatwa. Doprowadziła do różnic poglądów w szeregach partyzantów. „Zapora” był pozytywnie nastawiony do amnestii. Ale podkreślał, jak silnie był związany z ludźmi i może ujawnić się tylko jako ostatni i ostatnią kulę skieruje w swoje serce. Ostatecznie „Zapora” ujawnił się w czerwcu 1947 r. we wsi Siewalka, u gospodarza Woźniaka, w obecności płk. Wilhelma Szczepankiewicza „Drugaka” i kpt. Aleksandra Głowackiego „Wisły” oraz Franciszka Abraszewskiego „Boruty” – jedyne go ze skazanych na śmierć zwolnionego z więzienia. Po podpisaniu deklaracji „Zapora” nie podał ręki przedstawicielowi bezpieki płk. Tatajowi.

Żołnierze „Zapory” kochali swego komendanta

W opowiadaniach jego podkomendnych padały same superlatywy. W ich oczach jawił się zawsze jako młody, miły, uśmiechnięty, z twarzą o pociągłych rysach z czarnym wąsikiem, lub bez, o przenikliwym spojrzeniu, szczuplej postawy, w mundurze polskiego oficera z krótką bronią za pasem. Na głowie czapka–maciejówka z orłem. Wrażliwy na piękno, umiłował poezję, sam pisał wiersze, wsłuchiwał się ze wzruszeniem w melodie partyzanckich

pieśni. Posiadał umiejętność słuchania odgłosów leśnych, jakby prowadził z nimi w myślach rozmowę. Młode lasy, zagajniki, tzw. wizjery, nieraz ochraniały życie przed penetracją samolotów lub oblawa. Tu człowiek spotykał się z Bogiem. Zdawał sobie sprawę, że ich los jest losem straceńców. Śmierć kosiła ich każdego dnia, ale ginęli z bronią w ręku, a nie „na białych niedźwiedziach”. Mielili wspaniałą broń maszynową, byli w ogóle doskonale uzbrojeni i zaprawieni w boju, jednak czyhały na nich hordy bezpieki, byli nieraz głodni, zawszeni, wyczerpani fizycznie i psychicznie. Lata partyzanckiej tułaczki zrobiły już spustoszenie w ich organizmach i świadomości, ale trwali, dopóki były ich serca, przepojone miłością do ojczyzny. To był los straceńców. Mottem działania „Zapory” była głęboka wiara w końcowe zwycięstwo, wiara harcerza, żołnierza, Polaka. Każda kropla jego krwi była przesiąknięta umiłowaniem ojczyzny. Myślał także o ochronie swych podkomendnych przed zesłaniem na nieludzką ziemię lub przed karamatami aresztów i więzień. Ponościł odpowiedzialność za żołnierzy, miał poczucie winy za ich śmierć. Starł się ich bronić przed ścieżkami bandytyzmu. Troszczył się o zaopatrzenie w żywność, o pomoc sanitarną, a nawet o psychiczne wsparcie w tych latach niewoli. Był człowiekiem pomysłowym i zaradnym, co było ważne w niebezpiecznych sytuacjach. W zimie polecił uszyć



Mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”

białe kostiumy dla ochrony poruszających się w śnieżne zimy żołnierzy. Mknęli niepostrzeżenie przez ośnieżone tereny. Pocieszał rodziny poległych i – jak mógł – wspierał je finansowo. Kiedyś ofiarował dziecku – sierocie, której rodziców zabiło UB, swój złoty medalik, który otrzymał od harcerki przy przejściu granicy polskiej w 1939 roku.

Zdrajca „Opal”

Już po ujawnieniu inspektorzy „Stefan” (Władysław Siła-Nowicki) i „Boruta” (Franciszek Abraszewski) zaproponowali „Zaporze” pewny wyjazd na Zachód z grupą „spalonych” ludzi. Wyraził na to zgodę. Otrzymali paszporty na fałszywe nazwiska i adresy kontaktowe w Nysie i po przejściu granicy. Ostatnie spotkanie przed drogą za granicę nastąpiło w pierwszej dekadzie września u „Junaka” Tadeusza Pelaka. Otrzymali od „Boruty” dokumenty i instrukcje. Wszyscy, którzy zdecydowali się na wyjazd, zostali aresztowani w Nysie lub na granicy czeskiej. Łącznie 8 osób oraz cały krąg ludzi współpracujących z nimi w tej sprawie. Zdradził ich najlepszy przyjaciel „Zapory”, jego zastępca, walczący ramię w ramię podczas pierwszej okupacji, Stanisław Wnuk „Opal”. W sierpniu 1947 r. w czasie wesela sanitariuszki komendanta Leokadii Szymczyk w Borowie dowiedział się od samego „Zapory”,

że on wraz z „Rysiem” i innymi wyjeżdżają za granicę. Następnego dnia zameldował o tym w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego i Powiatowym UB w Lublinie. Jako „Iskra”, „Żmudzki” dostarczył ok. 1300 doniesień do WUBP m.in. o zgrupowaniu „Zapory” zarówno przed amnestią 1947 r. jak i po amnestii. Tymczasem ostre śledztwo trwało dzień i noc do czerwca 1948 r. W mokotowskiej celi, na najwyższym piętrze głównego pawilonu siedziała skazana na śmierć grupa lubelskich żołnierzy. Byli dla siebie serdeczni i podtrzymywali się wzajemnie na duchu. W końcu 1948 r., gdy na czele więźniów stanął „Zapora”, podjęli próbę ucieczki. Rozpoczęli od wiercenia otworu w suficie, aby wydostać się na strych. Dziurę wiercono w kącie celi, oddzielnym blaszaną osłoną muszli klozetowej. Światło paliło się całą noc. Nie było drzwi, jedynie zamknięta krata. Nad klozetem podwieszano więźnia, który wydłubywał otwór, na dzień zaklejany papierem, posmarowanym pastą do zębów. Już wyszli na dach i przeprowadzili rozeznanie. Mieli wychodzić piątkami i skakać na niżej położony budynek, a stamtąd na ulicę. Zdradził ich więzień, który siedział za współpracę z Niemcami, licząc na złagodzenie wyroku. Zapukał w kratę i kazał prowadzić się do „specja”. Zaraz pojawiło się mnóstwo uzbrojonych strażników. „Zaporę” rozebrano z ubrania, zakuto w kajdanki – ręce i nogi – i wrzucono do karca, czyli betonowego bunkra, pełnego fekaliów. Gdy nagle wyprowadzono go z karca, nie mógł chodzić o własnych siłach z powodu ran i nerwowego napięcia. Sądził, że to ostatnie chwile jego życia, ale stał się cud – miał widzenie z siostrą Marią Kubiakową. Nie mógł dojrzeć jej twarzy przez gęste kraty i cienie strażników, ale wiedział, że jest to pożegnanie i błogosławieństwo od rodziny. (Tę relację otrzymałam od siostry „Zapory”, z którą spotykałam się wówczas). Były starania, by „Zaporę” ratować. Drugą jego siostrą Zofia Śliwa, mieszkająca na stałe we Francji, bohaterka francuskiego ruchu oporu, odznaczona Legią Honorową, prosiła o interwencję Prezydenta Republiki Francuskiej i Królową Wielkiej Brytanii. Bezskutecznie. Po widzeniu zaprowadzono „Zaporę” do celi.

Ostatni akt

7 marca 1949 r. wykonano siedem wyroków śmierci na ludziach ze sztabu „Zapory”. Ocalał jedynie „Stefan”, któremu zamieniono karę śmierci na dożywocie. Kiedy nagle otworzyły się drzwi celi i padło nazwisko „Dekutowski” serce podeszło do gardła. „Zapora” z godnością i bólem odwrócił się i spojrzał w oczy kata. Nastąpiło ostatnie pożegnanie. I ostatnie słowa: „Przyjdzie zwycięstwo, jeszcze Polska nie zginęła”. Wyszedł przy pomocy strażników. Nie miał jeszcze trzydziestu jeden lat, ale wyglądał jak starzec. Połamane ręce i nogi, wybite zęby, złamany nos i zębra, zerwane paznokcie, siwiutki włosy. Jedną z wersji o jego śmierci mówi, że w celi śmierci nie mógł stanąć na nogi. Oprawcy wcisnęli go do worka, powiesili pod belką i biegali dookoła, strzelając na oślep. Patrzyli z satysfakcją na kapiącą przez dziury w worku niepokorną krew. Do dziś nie jest znane miejsce pochówku „Zapory” i jego ludzi.

Ostatni rozkaz wykonałam

Nadszedł dla mnie czas wypełnienia rozkazu Komendanta. Zdałam maturę i jesienią 1948 r. rozpoczęłam studia prawnicze na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. 1 maja 1949 r. rozpoznała mnie na ulicy w Lublinie funkcjonariuszka UB Pawlakowa z Łopiennika. Podeszła do milicjanta i kazała mnie aresztować. Przeżyłam potworne śledztwo. Do niczego się nie przyznałam, nikogo nie wydałam. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie skazał mnie na 6 lat więzienia na podstawie oskarżeń „Opala” za to, że „udzielałam pomocy nielegalnym organizacjom AK i WiN, usiłującym przemocą zmienić ustrój państwa polskiego”. Na procesie zeznał on, że o moim udziale w działalności „Zapory” dowiedział się od niego samego podczas spotkania. Karę odbywałam na Zamku Lubelskim i w Fordonie. Zwolniona warunkowo w 1951 r., kontynuowałam studia zaocznie na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zakończyłam je aplikacją, gdyż



Izabella Kochanowska „Błyskawica”

chciałam w przyszłości bronić więźniów politycznych. Dlatego 23 maja 1994 r. na rozprawie Sądu Wojewódzkiego w Warszawie „w sprawie Hieronima Dekutowskiego i innych skazanych za przestępstwa z art. 86 par. 1 KK i innych wniosków w przedmiocie uniewinnienia wyroku” wniesionych przez Związek Więźniów Politycznych i siostrę „Zapory” Zuzannę Kulas byłam świadkiem faktów historycznych, będących przedmiotem sprawy. Sąd postanowił unieważnić wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego, uznając, że oskarżeni prowadzili działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. Nareszcie nastąpiła rehabilitacja, po tylu latach. Od tej pory została otwarta droga do legalnego upamiętnienia walki podziemnych bohaterów. Do dnia dzisiejszego staram się w miarę swych możliwości realizować niepisany testament komendanta „Zapory”. Korzystałam z różnych form i wspieram każdą inicjatywę, zmierzającą do realizacji tego celu. Za pieniądze otrzymane jako odszkodowanie za pobyt w więzieniu sfinansowałam książkę dr Ewy Kurek *Zaporczyzy*. Sama też napisałam książkę *Major „Zapora”*. Nie byłam sama, wielu ludzi dobrej woli włączyło się w ten proces historyczny usuwania białych plam, rozumiany szeroko. Powstały pomniki pod

Zamkiem Lubelskim i przy szkole im. Majora „Zapory”. Imię „Zapory” przyjęły drużyny harcerskie. Wmurowano wiele różnych tablic w kościołach np. w Tarnobrzegu, Zwierzyńcu i innych miejscowościach. W terenie urosło moc symboli pamięci poległych w walce z hitlerowskim i komunistycznym zniewoleniem.

Panie generale komendancie „Zaporo”!
Dziś w 70-lecie państwa podziemnego składam meldunek, że rozkaz Twój ostatni wykonałam i spokojnie mogę odejść na ostatnią wachtę.
O tych, co zginęli, nigdy nie zapomnę: „Oni polegli, abyśmy żyli wolni”. Cześć ich pamięci!

Tadeusz Wośkowski

Wspomnienia mego życia

Urodziłem się w Urzędowie, w mieście lokowanym przez Władysława Jagiełłę w 1405 r. a pozbawionym praw miejskich w 1869 r. tylko za to, że urzędowanie wzięli udział w powstaniu 1863 r. Powstańców było około 50. Pamiętam pogrzeb jednego z nich, odbył się bardzo uroczysto. Urzędów był miejscem urodzenia: Józefa – filozofa, prawnika, prof. Akademii Krakowskiej; Marcina – botanika, lekarza, autora *Herbarza Polskiego*; Jana Michałowicza – najwybitniejszego rzeźbiarza okresu renesansu; Leona Ulricha – tłumacza dzieł Szekspira.

Dorastałem w patriotycznej atmosferze. Działy następujące organizacje: Stronnictwo Narodowe pod przewodnictwem Aleksandra Golińskiego, Polskie Stronnictwo Ludowe pod przewodnictwem Błażeja Dzikowskiego oraz Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Działał również Związek Legionistów i Peowiaków, którego prezesem był Piotr Pomykański, a sekretarzem mój ojciec Mikołaj. Ojciec i ciocia Seweryna byli członkami Polskiej Organizacji Wojskowej w czasie I wojny. Ojciec wstąpił na ochotnika do wojska i przeżył kampanię 1920–1921. Za tę działalność zostali odznaczeni Krzyżem Niepodległości. Jeździli obydwoje na wszystkie zjazdy legionowe organizowane co roku w dniu 11 listopada.

Rodzicami moimi byli Mikołaj i Regina z Kałużyńskich. Powiadali, że mama wywodziła się z herbowych Kałużyńskich. Ojciec był uczniem Progimnazjum Jagiellońskiego w Urzędowie, powołanego w 1906 r. przez L. Hempla. Posiadał rozległą wiedzę z historii i geografii. Wyczuwało się przemożny wpływ na niego nauczycielki tego gimnazjum, p. Decjusz.

Mama była energiczną kobietą, pracowitą, lubiącą utrzymywać w domu porządek, w miarę oszczędna, bardzo chciała, byśmy coś mieli. Byłem wychowywany „takim małym syneczkiem”, mimo że miałem siostrę, byłem wychowywany jak jedynak, trochę kapryśny. Zawsze z matczyną troską opiekowała się mną. Przez cały okres nauki i studiów przysyłała mi paczki, a paczki wędrowały za mną nawet do pracy, jeszcze przed śmiercią przesłała mi je. Mama stawiała na tradycje rodzinne. Ilekroć do mnie mówiła lub tylko spojrzała, rozumiałem ją doskonale.

Ciocia Seweryna była piękną kobietą, dla mnie autorytetem i mądrym wychowawcą. Była osobą o potężnej osobowości, życzliwa ludziom, szczególnie w czasie okupacji, z wrodzoną dobrocią. Dom nasz był zawsze

otwarty. Nawet gdy była ciężko chora, gotowa była nieść pomoc innym.

Moi dziadkowie byli mieszkańcami Urzędowa i obydwaj rzemieślnikami.

Byłem dzieckiem raczej spokojnym, ale na atmosferę mieli duży wpływ koledzy, więc wspólnie psociliśmy na lekcjach tak, że ojciec był wielokrotnie wzywany przez wychowawcę. Wieczorami chodziliśmy do księdza do ogrodu na gruszkę. Byłem młodzieńcem nieśmiałym. Nastawiony przez księdza prefekta bałem się płci pięknej. Miałem powodzenie u dziewcząt, ale muszę przyznać, że byłem zmienny w uczuciach. Do szkoły powszechnej chodziłem od 1938 r. Wkrótce rozpoczęła się zawierucha wojenna. Po wejściu wojsk niemieckich do Urzędowa uruchomiono szkołę, ale z programem ograniczonym, bez historii i geografii. Uczyliśmy się z cienkich zeszytów nazywanych sterami. W szkole uczył religii ks. Łazicki. Zachęcał nas do posługi w kościele jako ministranci. Otrzymaliśmy podręczniki i z nich uczyliśmy się całej mszy po łacinie. Do dzisiaj pamiętam całą mszę w tym języku.

Powracam wspomnieniami do lat mojej młodości. Byłem pod dużym wrażeniem uroczystości z sierpnia 1947 r., gdzie rodak urzędowski ks. biskup Zdzisław Goliński odprawił w miejscowym kościele prymicyjną biskupią mszę św. W uroczystości wziął również udział biskup lubelski Stefan Wyszyński, później kardynał, Prymas Tysiąclecia. W swoim wystąpieniu przytoczył wyjątki z listu pasterskiego skierowanego do wiernych diecezji. Cieszy się bogobojny Urzędów, że wydał swego syna do biskupstwa i powiększył Episkopat. Z Urzędowem byłem związany więzami uczuciowymi. Tutaj się urodziłem, tutaj spędziłem najpiękniejsze lata młodości. Na miejscowym cmentarzu spoczywają moi dziadkowie oraz mama z siostrami, Seweryną i Antoniną. W kościele parafialnym przystąpiłem do pierwszej komunii św. w 1942 r., a bierzmowany byłem przez biskupa lubelskiego. Przeżycia wojenne, aresztowanie ojca i związane z tym cierpienia, poniewierka, głód, wywarły na mnie głębokie wrażenie. W okresie nauki w gimnazjum w Urzędowie należałem do Związku Harcerstwa Polskiego od 1945 r. Praca w drużynach harcerskich opierała się na tradycjach tej organizacji sprzed 1939 r., a przyrzeczenie kończyło się słowami „Tak mi dopomóż Bóg”. Naszym drużynowym był Chojecki, a opiekunem harcmistrz Edward Wójcicki. Niemal cała młodzież gimnazjalna i starszych klas szkoły

podstawowej, ok. 150, należała do harcerstwa. Byliśmy bardzo aktywni, pomagaliśmy młodszym, utrzymywaliśmy dyscyplinę i wzajemne koleżeństwo, odbywaliśmy zajęcia sportowe i zdobywaliśmy sprawności. Olbrzymi wpływ na nas miała nauczycielka Józefa Wójtowicz pochodząca ze Lwowa, gdzie należała do Orląt Lwowskich. Dużo wiadomości nam przekazała. Harcmistrz Wójcicki zorganizował w maju 1947 r. trzydniowy biwak w lesie za leśniczówką „Żórawskich”. Byliśmy bardzo zadowoleni z ćwiczeń. Po raz drugi zorganizował wycieczkę do lasu za Bęczynem, gdzie spotkaliśmy ukrywających się partyzantów AK. W maju 1948 r. z inicjatywy nauczycieli gimnazjum zorganizowano wycieczkę do Wieliczki i Krakowa. Gdy staliśmy w kolejce na Wawel, podszedł do mnie pan o nadzwyczajnej osobowości i inteligencji. Widząc na moim rękawie herb Urzędowa, zaprosił mnie do Katedry Wawelskiej i pokazał mi rzeźby wykonane przez Jana Michałowicza. Na zakończenie zwiedzania rzekł: „To twój rodak był autorem tych rzeźb”. Byłem z tego bardzo dumny. Podziękowałem mu za to. Harcerstwo kształtowało nasze charaktery, postawy serdeczności i wyrozumiałości, zaradności i odwagi oraz szacunku do starszych.

Pamiętam, że z niedożywienia w 1942 r. lekarz podejrzewał u mnie zagrożenie gruźlicą. Zaopiekowała się mną nadzwyczajnie ciocia i dzięki niej oraz dr. Józefowi Ściegiennemu powróciłem do zdrowia. W takiej rodzinnej atmosferze wyrastałem.

Ojciec mój pod koniec października 1939 r. został zaprzysiężony do organizacji Służba Zwycięstwu Polsce, w grudniu do Związku Walki Zbrojnej. Na skutek wyspy około 70 osób zostało podstępnie o godz. 4. nad ranem aresztowanych przez gestapo w dniu 10 czerwca 1940 r. w całym powiecie za przynależność do tej organizacji. Niemal wszyscy zostali straceni na Zamku Lubelskim lub w obozach zagłady. Ojcu wprost cudem udało się wyrwać ze szponów gestapo. Ukrywał się przez dwa i pół roku. Cała nasza rodzina była represjonowana. Gestapo w odwecie nakazało nałożyć na gospodarstwo ojca wysokie kontyngenty. Całą rodziną głodowaliśmy. Zbliżał się koniec wojny. Armia Krajowa, która wystąpiła zbrojnie przeciwko wojskom niemieckim, w dniach od 23 do 26 lipca 1944 r. odniosła poważne zwycięstwa. Była chwila grozy, ale Urzędów znajdował się pod opieką Opatrzności i uniknął losu Warszawy. Po stoczonych walce leżeli u nas ranni. Opiekowaliśmy się nimi obydwój z siostrą. 29 lipca 1944 r. wkroczyła do Urzędowa Armia Czerwona, lecz przed nią weszły oddziały AK jako gospodarze. Płomienne przemówienie do zebranych mieszkańców Urzędowa wygłosił komendant rejonu AK Hipolit Cieszkowski.

We wrześniu rozpocząłem naukę w 7 klasie szkoły podstawowej, którą ukończyłem w czerwcu 1945 r. Po zdaniu egzaminu wstępnego rozpocząłem naukę w Prywatnym Gimnazjum w Urzędowie. W trzeciej klasie moje wyniki były niezadowolające z większości przedmiotów. Za dużo interesowaliśmy się partyzantami poakowskimi. Miałem własny karabin. Ojciec nakazał mi korepetycje (wyszły tutaj również zaniedbania i niski poziom nauczania w czasie okupacji). Gdyby mi zapewnił pomoc, nadrobiłbym zaległości. Gorszi uczniowie uzyskali pro-

moje do wyższej klasy. Ojciec, chcąc mnie zachęcić do nauki, zastosował chwyt, o którym napiszę. Udał się do wychowawcy i uzgodnił z nim godzinę przemarszu moich kolegów na zajęcia w-f. Wówczas wysłał mnie furmanką z obornikiem. Koledzy mijający mnie zaśmiewali się. Zeskoczyłem z wozu i podnosząc dwa palce przyrzekłem, że zabiorę się solidnie do pracy. Od tego czasu uczyłem się zachłannie. Na następny rok pojechałem do Gimnazjum w Gardzienicach k. Piask Luterskich, gdzie nadrobiłem w ciągu jednego roku dwie klasy. Przekonałem moich kolegów z urzędowskiego gimnazjum i w piątkę wybraliśmy się do Liceum Rolniczego w Wierzbicy k. Wrocławia. Dyrektorem Liceum był wychowanek mego wuja z Cieszyna. Otrzymaliśmy ładny pokój i stypendium na cały okres nauki. Było to poważne odciążenie dla rodziców. Po maturze, którą zdawaliśmy w lutym 1951 r. otrzymałem pierwszy nakaz pracy do Zjednoczenia PGR w Olsztynie. Po przybyciu do kadr zapytałem panią, która przyjmowała mnie, czy pracuje tutaj p. Gałkowski (urzędowiak). Odpowiedziała, że w podobnym Zjednoczeniu, ale w Rzeszlu. Poinformowałem ją o moim zamiarze pójścia na studia. Odpowiedziała, że o ile będzie to możliwe, to udzieli mi pomocy (pochodziła z Lublina). Skierowała mnie, jak się wyraziła, do najlepszego Zespołu PGR Dźwierzuty k. Szczytna. Zbliżał się okres egzaminów wstępnych. W czasie przejazdu ze świąt wstąpiłem do Ministerstwa PGR, gdzie przyjął naszą sześciuosobową grupę starającą się o odroczenie nakazu na okres studiów minister Hilary Chełchowski. Ale pokrzyczał nad nami i odesłał do pracy. Ja ze zwieszoną głową opuszczałem sekretariat. Wybiegła za mną sekretarka i prosiła bym zaczekał. Minister wyszedł i spieszył się. Pani sekretarka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do wiceministra Stanisława Tkaczowa i poprosiła, by mi załatwił odroczenie nakazu pracy. Uśmiechnął się i na moim podaniu napisał „Wyrażam zgodę”. Za tydzień otrzymałem odroczenie, które mam do dzisiaj. Marzyłem o studiach rolniczych. Były u nas w rodzinie jakieś tradycje. Wuj Stanisław Kałużyński ukończył Wydział Rolniczy Akademii Rolniczej w Duklanach k. Lwowa. Był wieloletnim dyrektorem szkół rolniczych i wykładowcą na Wydziale Rolniczym Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie. Wielokrotnie przyjeżdżał do nas i zachęcał, bym poszedł w jego ślady. Od tego czasu nie miałem wahań co do wyboru studiów na Wydziale Rolniczym, mimo że ojciec proponował weterynarię, ja się zapałem. Skapitulowałem. Złożyłem dokumenty na Wydział Rolniczy Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie i w lipcu 1951 r. zdałem egzamin wstępny. Ojciec był zdumiony i wybrał się ze mną do Lublina, by sprawdzić w dziekanacie listę przyjętych. Przekonał się, że 70 osób nie zdało egzaminu. Pogratulował mi i widziałem w jego oczach, że był dumny. Na pierwszym roku mieszkałem prywatnie na Krakowskim Przedmieściu wraz ze studentami medycyny: Edmundem Jasińskim i drugim z Wąwolnicy. Początkowo jadłem obiady w stołówce profesorskiej, ale wkrótce rozpoczęli tam remont i zmuszony byłem tułać się po innych stołówkach, między innymi na KUL-u w Alejach Raławickich, gdzie zajadaliśmy kotlety bardzo słodkie z koniny. W pierwszym półroczu pięć

egzaminów zaliczyłem bez poprawek, mimo że niektórzy koledzy mieli po dwie wpadki, a jeden zaliczał komisyjnie Studium Wojskowe. Poczuję się studentem, kupiłem czapkę wydziałową i z Mundkiem zaczęliśmy chodzić na zabawy studenckie. To był mój duży błąd. W następnej sesji wiosennej miałem dwie wpadki z nauk ścisłych, do których nie miałem uzdolnień, w dodatku w Liceum Rolniczym przedmioty te traktowano drugorzędnie. Zdałem z gleboznawstwa u prof. Dobrzańskiego, zaliczyłem egzamin na dostatecznie minus. Usłyszałem ripostę od niego skierowaną do mnie, że „Do studiów nie ma danych i należy się wycofać z honorem”. Po latach spotkałem profesora na konferencji i przypomniałem mu oraz poinformowałem, że ukończyłem studia i zostałem inżynierem rolnictwa, a obecnie pracuję w Ministerstwie Rolnictwa. Uśmiechnął się i życzył mi sukcesów. Zaległe egzaminy uzupełniałem na Rolniczym Studium Zaocznym, a od 1 października 1953 r. przeniósłem się na Wydział Rolniczy WSR we Wrocławiu. Muszę się cofnąć do mego okresu nauki w Gardzienicach. Działo tam prężne koło szkolne Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Znałem działalność takiej organizacji z Urzędowa. Opiekunem duchowym był znany działacz ludowy Błażej Dzikowski. Zapisalem się do tej organizacji. W Liceum Rolniczym w Wierzbicy przyznałem się, że należałem do Związku Młodzieży Wiejskiej, kazano mi przedstawić legitymację, wpisano automatycznie do ZMP po zjednoczeniu wszystkich organizacji w lipcu 1948 r. Nikt nas nie pytał o zgodę, a wycofanie się w tym czasie było równoznaczne z relegowaniem ze szkoły. Moje przeżycia z tamtych lat. Na 1-go maja Zarząd Uczelniany ZMP w Lublinie w 1952 r. zorganizował manifestację. Mieliśmy przemarszować Krakowskim Przedmieściem przed trybuną, na której znajdowały się władze wojewódzkie. Przypomniano sobie, że w pochodzie powinien wziąć udział Akademicki Związek Sportowy, ale liczył on małą ilość członków. Odwołano się do nas, że kto chce wystąpić w strojach sportowych, ma zgłosić się z powrotem na wyznaczony punkt. Oddałem przydzielony mi czerwony krawat ZMP i udałem się po strój AZS. Kolega rzucił mi strój, w który szybko się przebrałem. Było trochę zimno, ale nie mogłem zdobyć się na wystąpienie w nakazanym stroju ZMP. Bardzo boleśnie przeżyłem zebranie tej organizacji pod koniec czerwca 1952 r. Jeden ze studentów, pochodzący z Woli Gałęzowskiej znanej z poglądów komunistycznych, dowiedział się, że dwaj bracia naszego kolegi Eugeniusza Pawelczaka z Popkowic byli członkami Kedywu AK i zwalczali członków AL. Informację tę przekazał do Zarządu Uczelnianego ZMP. Zorganizowano zebranie i oskarżono go, że jest reakcjonistą, że działa we współpracy z braćmi. Nie pomogła nasza obrona, dziekan ugiął się pod naporem ZMP i skreślił go z listy studentów, mimo że wszystkie egzaminy z sesji wiosennej zaliczył na bardzo dobrze. Natychmiast powołano go do wojska. Był wszechstronnie uzdolniony, pięknie śpiewał. Zwerbowano go do Centralnego Zespołu Wojska Polskiego. Następnie śpiewał w „Mazowszu”. Po odwilży 1956 r. zespół „Mazowsze” miał udać się na występy do Paryża. Złożył dokumenty o paszport. Odmówiono mu. Pojechał do rodziców i odebrał sobie życie. Był bardzo ambitny.

Pamiętam, przechodziliśmy koło KUL-u z przygodnie spotkanym wielkim działaczem ZMP, zobacz – „wielka wysepka reakcji”.

A oto drugi przykry wypadek we Wrocławiu. W domu studenckim mieszkaliśmy we czwórce. Wyszliśmy uczyć się do świetlicy. Do naszego pokoju wszedł sąsiad i nastawił rozgłośnię Wolnej Europy. Do pokoju wtargnął wielki ideowiec Eugeniusz i później zawiadomił Zarząd Uczelniany ZMP, że kolega, podał jego nazwisko, słucha reakcyjnej rozgłośni. Próbowano „winowajcę” usunąć z uczelni, ale nasza postawa na zebraniu wpłynęła tak, żeśmy go uratowali. Zwyciężyliśmy.

We Wrocławiu mieszkalem w Domu Akademickim przy ul. Kotsisa na Biskupinie, w dwuosobowym bardzo małym pokoju, z kolegą Kazimierzem Turczyńskim pochodzącym z Dublan k. Lwowa. Na trzecim roku przeniesiono nas do nowego domu przy ul. Górnickiego koło Placu Grunwaldzkiego. Stołowałem się na miejscu w stołówce. Na śniadanie czarna kawa zbożowa i chleb z margaryną, obiad bardzo skromny, ale zupy można było otrzymać dolewkę. Kolega Stefan P. chodził ciągle głodny, lecz miał spryt do „podwędzenia” drugiego dania – kelnerki machały rękami. Na trzecim roku stypendium wynosiło 340 zł. Tak gospodarowałem tą sumą, że wystarczało mi na zakupienie czterech biletów do opery na „jaskółkę”. Cena biletu wynosiła 5 zł. Pomagała mi mama, przysyłając paczki żywnościowe, które były moją podporą. Lata pięćdziesiąte, w których przyszło mi studiować, to lata zniewolenia. Bardzo dużo zawdzięczam profesorom Wydziału Rolniczego we Wrocławiu. Ocalili nas od zła, zachowaliśmy swoją godność i wolność. Najserdeczniej wspominam dwóch, tj. profesora Aleksandra Tychowskiego, rektora uczelni, który pomógł mi w zdobyciu stypendium, za co jestem mu wdzięczny, bo nie wiem jak potoczyłyby się moje losy. Drugim zaś był profesor Antoni Wojtysiak, którego uważałem za wzór do naśladowania. Wysoki, dystyngowany, o kościstej twarzy i niebieskich oczach. Charakteryzował się ostrością sformułowań, bardzo precyzyjny w wypowiedziach. W jego katedrze odbywałem seminarium ze szczegółowej uprawy roślin. Chciałbym go szczególnie wyróżnić. Nauczał nas tajników wiedzy rolniczej, uczył patriotyzmu i zachowania się w trudnych czasach, w jakich przyszło nam żyć. Opracowałem jego życiorys i opublikowałem w „Postęпах Nauk Rolniczych”. W roku 1957 studenci zgłosili go na kandydata na posła w okręgu Legnica, gdzie uzyskał mandat posła jako jeden z bezpartyjnych, otrzymując 97% głosów. W sejmie zabierał głos 16 razy. Na pierwszym posiedzeniu wstał i powiedział: „Nie będę głosować za proponowanym składem rządu, na czele którego ma stanąć człowiek winny za tzw. okres miniony” (chodziło o J. Cyrankiewicza). Krytykował politykę rządu, a szczególnie występującą biurokrację w administracji. Wnioskował zmianę ustawy o szkołach wyższych, a rolnictwo postulował objąć szczególną opieką. Czynił to bardzo odważnie. Prof. Wojtysiak był świetnym pedagogiem, kładącym duży nacisk na obowiązkowość, punktualność, uczciwość. Nasz Wydział Rolniczy jako jedyny w Polsce miał najwspanialszych profesorów, którzy wywodzili się z Akademii Rolniczej w Dublanach, gdzie pracował ze-

spół najwybitniejszych przedstawicieli nauk rolniczych, członków Polskiej Akademii Nauk: prof. Bolesław Świętochowski – ogólna uprawa roślin, prof. Stanisław Bac – melioracje rolnicze, prof. Tadeusz Reubenbuer – hodowla roślin (przeniósł się do Krakowa), prof. Kazimierz Boratyński – chemia rolna. Byli tam wspaniali profesorowie z produkcji zwierząt: prof. Tadeusz Konopiński – szczegółowa hodowla zwierząt, również członek PAN, Tadeusz Olbrycht – ogólna hodowla zwierząt i Marian Lityński – warzywnictwo, późniejszy rektor WSR w Szczecinie. Przez trzy lata należałem do Kółka Nauk Rolniczych. Przygotowałem się do pracy w hodowli roślin. Odbyłem praktykę w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Puławach, gdzie miałem pracować pod opieką prof. L. Kazanowskiego, ale w dwa dni później zmarł. Na to stanowisko przybył jego uczeń, prof. Jerzy Korohoda z Krakowa. Podczas pracy stwierdził u mnie „oko hodowcy” i zachęcał do pracy w tym kierunku. Mam żal do siebie, że nie poświęciłem się hodowli roślin, bo może dopracowałbym się ich nowych odmian. Ale życie płata figle. Po otrzymaniu dyplomu pierwszego stopnia inżyniera rolnictwa otrzymałem drugi nakaz pracy do POM Trzebnica, 25 km od Wrocławia. Obowiązywały nas w dalszym ciągu skierowania do pracy. Moje marzenia nie ziściły się. Praca polegała na dozorze i dopilnowaniu wykorzystania sprzętu rolniczego, jak ciągniki, maszyny i kombajny w dwóch spółdzielniach rolniczych. Przyjeżdżał do mnie dyrektor POM, a kiedyś przy kolacji rozplakał się i powiedział, że popełnił błąd przyjeżdżając z Francji, gdzie mieszkał już w drugim pokoleniu. Niektórzy z moich kolegów zrobili kariery. Dziesięciu podjęło pracę w Zespole PGR w pow. Namysłów. Wprowadzał ich do pracy wicepremier Zenon Nowak.

Następujący koledzy otrzymali tytuły: prof. dr Andrzej Binek – pracuje na Wydziale Rolniczym AR w Krakowie; doktorzy habilitowani: Piotr Ilnicki, Stanisław Laskowski; doktoryzował się Tadeusz Maćkowiak; dwóch starszych kolegów zostało ministrami rolnictwa: Kazimierz Barcikowski i Jerzy Wojtecki.

Nigdy nie korzystałem ze znajomości, pomimo że K. Barcikowskiego znałem ze współpracy z Bydgoszczy. Po ukończeniu nauki rozjechaliśmy się po całym kraju i świecie. Nie mieliśmy ani jednego zjazdu. Mam wiadomości, że zmarli następujący koledzy: Stefan Cywiński, Jacek Morawski, Andrzej Łobarzewski. Nasza koleżanka Róża, Żydówka, której prof. Wojtysiak po raz drugi nie przepuścił z egzaminu ze szczegółowej uprawy roślin, wyjechała do Izraela i napisała list do koleżanek, że będzie jej się lepiej powiodło bez dyplomu aniżeli im

w kraju z dyplomami, nawet magisterskimi. Wyjechała również nasza koleżanka ze specjalizacją ochrony roślin, ale nie wiem, jak jej ułożyło się życie i praca w USA. Do rodziny w Kanadzie wyjechał także Jan S. przed wprowadzeniem stanu wojennego. Tam pozostał i sprowadził rodzinę. Miałem z nim kontakty listowe. Pracował w różnych zawodach, czynił starania o pracę w ogrodzie zoologicznym w Toronto. Miał zająć się produkcją pasz dla zwierząt.

Przełom październikowy przeżyłem już w pracy. Studenci wydziału zorganizowali wiec i zaprosili rektora. Domagali się ustąpienia ze stanowiska kierownika Studium Wojskowego majora Tomanka. Dopiero protest w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego przyniósł rezultaty. Odwołano go (wielu studentów powtarzało rok

z jego winy, gdyż udowadniał, że studium wojskowe jest ważniejsze od zasadniczych studiów). Pamiętam, wywieziono na taczakach Hilarego Chełchowskiego, wojewodę wrocławskiego, o którym pisałem wyżej.

W przerwie semestralnej w 1955 r. przyjechałem z Puław, by zaliczyć pierwszą część praktyki. We Wrocławiu odbywał się Zjazd Spółdzielczości, na który przybył Bolesław Bierut. Następnego dnia uczestniczył on w spotkaniu profesorów i studentów naszej uczelni, w którym również wziąłem udział. Przemawiało kilku profesorów. W swych wypowiedziach omawiali osiągnięcia poszczególnych katedr. Nie obeszło się bez słów krytyki o niskim uposażeniu profesorów i pracowników naukowych, o trudnościach z otrzymaniem środków inwestycyjnych na rozbudowę uczelni. Wystąpił również nasz

kolega z „zootechniki” i skrytykował złe warunki dla studentów w Zakładzie Doświadczalnym Gołab k. Puław. Wszystkich studentów odbywających tam praktyki natychmiast przeniesiono. B. Bierut skrupulatnie zanotował wszystkie uwagi zgłoszone przez profesorów i przyrzekł je załatwić. Rodzice prosili mnie, bym się przeniósł do pracy do Kraśnika w Wydziale Rolnictwa PPRN. Wystąpiłem do Ministerstwa Rolnictwa o zmianę nakazu pracy i wkrótce ją otrzymałem. W Kraśniku przepracowałem dwa lata, dusiłem się jednak tutaj. Przypadkowo spotkany kolega zatrudniony w województwie bydgoskim zachęcał mnie do podjęcia tam pracy. Pojechałem i dostałem pracę w Wydziale Rolnictwa PWRN w Bydgoszczy. Nie miałem mieszkania i bez zgody kierownictwa wydziału udałem się do przewodniczącego z podaniem o mieszkanie. Ten obiecał mi pomoc. Wyjechałem na delegację, mieszkanie przydzielono komuś innemu. Widziałem jak kierownik boczy się na mnie, więc natychmiast przenieśliem się do pracy w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR w Bydgoszczy,



do Wydziału Mechanizacji. Pracę tę podjąłem dlatego, że w POM Trzebnica praktycznie zapoznałem się z eksploatacją sprzętu rolniczego oraz wysłuchałem wykładów i zaliczyłem ćwiczenia z maszynoznawstwa rolniczego u prof. Z. Martiniego. Początkowo prowadziłem sprawy szkolenia kadry mechanizacyjnej. Dyrekcja w uznaniu za pracę powierzyła mi stanowisko naczelnika wydziału, gdzie przepracowałem 7 lat. Nastąpiła zmiana dyrektora Zjednoczenia. Przyszedł swój człowiek, wysoce partyjny, bez przygotowania fachowego. Zaczął od zwolnień dyrektorów i pracowników. Charakteryzował się okrucieństwem. Po przyjeździe z wycieczki z Francji wezwał mnie i dosłownie zaczął na mnie krzyczeć, że mój zastępca podczas mojej nieobecności wybrał się samochodem służbowym bez zezwolenia i odwiedził swoje dzieci na koloniach. Odpowiedziałem, że nie mogę odpowiadać za kogoś, w dodatku podczas swojej nieobecności. Krzyczał dalej, wyprowadził mnie z równowagi. Powiedziałem, że chcąc krzyczeć na absolwenta szkoły wyższej, trzeba mieć zdaną maturę (on jej nie miał). Wyszedłem z pokoju zdając sobie sprawę, że moje dni są tu policzone. W następnym tygodniu zgłosił się do mnie kadrowiec i złożył mi wypowiedzenie tłumacząc, że dyrektor się uparł. Miałem przyjaciół w Warszawie, zadzwoniłem. Powiedzieli mi: „Przyjeżdżaj, są wolne etaty w Ministerstwie Rolnictwa, wskażemy ci drogę do załatwienia”. Otrzymałem propozycję pracy w Wydziale Technicznym Departamentu Przemysłu Rolnego. Dyrektorem tego departamentu był inż. Stanisław Wąsowicz. Już od dawna marzyłem o pracy w Warszawie. Zwolnienie mnie z pracy w Bydgoszczy odbiło się ujemnie. Otrzymałem niższą pensję, gdyż straciłem ciągłość pracy (przerwa wynosiła trzy miesiące). W dodatku zmarła moja mama. Zmuszony byłem zaopiekować się ojcem. Dopiero po pięciu latach, gdy zmieniono przepisy, uzyskałem prawo do wyższych poborów. Moja praca w Wydziale Technicznym polegała na nadzorze realizacji programu budowy 120 suszarni do zielonek i ziemniaków. Była to praca katorżnicza. W niektórych latach przebywałem na delegacjach 120 dni rocznie. Żona i syn widywali mnie w niedziele.

Mimo wszystko miałem trochę szczęścia, gdy opuściłem Bydgoszcz i przybyłem do pracy w Warszawie, która była miastem zamkniętym. Bez zameldowania nie zatrudniano nawet specjalistów. Mnie się udało. Mój wniosek o zameldowanie był co prawda trzykrotnie załatwiany odmownie, mimo iż znajdował się nad nim podpis wiceministra. Pomocy udzielił mi kierowca z kolumny transportowej, poinformował mnie do kogo mam się udać w tej sprawie. Złożyłem odwołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z poparciem wiceministra rolnictwa. Pomogło, otrzymałem zgodę na zameldowanie stałe w Warszawie. Wkrótce złożyłem w Spółdzielni „Politechnika” podanie o przydział mieszkania, przenosząc uprzednio moje prawa ze spółdzielni typu własnościowego w Bydgoszczy. Przydział mieszkania otrzymałem. Po przekroczeniu progu przeżegnałem się i podziękowałem Bogu, że wróciłem do Warszawy w trzecim pokoleniu, tu, gdzie mieszkał mój pradziadek ze strony mamy. Został on pozbawiony obywatelstwa Warszawy, a jego majątek, dom na ul. Tamka, został skonfiskowany na podstawie

ukazu carskiego za pomoc materialną wojskom powstańczym 1863 r. Przeżyłem dwie reorganizacje, kiedy przenoszono nas służbowo z zachowaniem ciągłości pracy do Generalnego Inspektora PGR i Centralnego Zarządu PGR, gdzie ukończyłem trzyletnie Studium Poddyplomowe w SGGW w zakresie mechanizacji rolnictwa z wynikiem dobrym. Tu spotkało mnie upokorzenie. Nowo mianowany wicedyrektor chciał się popisać. Na zebraniu zaatakował chorego kolegę i groził mu zwolnieniem. Na drugi dzień miała odbyć się dalsza część zebrania. Po powrocie do pokoju usiadłem za biurkiem i wypunktowałem, co chciałbym na zebraniu poruszyć w obronie kolegi. Usłużny donosiciel poinformował tegoż dyrektora. Zebranie nie odbyło się, a mnie posądzono o nieczne cele. Wymówiono mi pracę, lecz odwołałem się do komisji rozjemczej. Znalazłem wkrótce nową pracę i przeniosłem się do Zjednoczenia Hodowli Zwierząt za porozumieniem stron. Przepracowałem tu dwa lata.

Przechodząc ulicą, spotkałem mego kolegę Jana S. z Wrocławia. Poinformował mnie, że pracuje w Centralnym Związku Kółek i Organizacji Rolniczych i poszukuje kogoś do pracy. Na drugi dzień zadzwoniłem i powiedziałem, że mogę podjąć tę pracę. Przeniosłem się za porozumieniem stron i uzyskałem wyższą pensję o 2 tysiące złotych, co w owym czasie było sumą znaczącą. Charakter pracy był nieco inny od poprzednich. Do moich obowiązków należało prowadzenie działalności społecznej, tj. obsługi zebrań w kółkach rolniczych, SKR i Radach Wojewódzkich Związków Kółek Rolniczych. Wyjeżdżałem bardzo często w celu obsługi takich zebrań. Byliśmy łącznikami pomiędzy Zarządem CZKR a Radą Główną. Przed VI Zjazdem Delegatów Kółek Rolniczych opracowano projekt CZKR. W dyskusji zabrałem głos i przekazałem swoje uwagi do regulaminu. Zarząd nie był zadowolony z przedstawionych propozycji, a szczególnie dotyczyło to stanu zatrudnienia (4 prezesów i 200 pracowników). Później odbył się zjazd w roku 1989, podjął on uchwałę o zmniejszeniu zatrudnienia do 70 osób. Grupowym zwolnieniem objęto ponad 100 osób, co mnie również spotkało. Wkrótce Rada Główna podjęła uchwałę o odwołaniu Zarządu. Tę decyzję ogłoszono w prasie centralnej. Za namową lekarza skierowano mnie na komisję lekarską, gdzie przyznano III grupę inwalidzką. Z dniem 1 grudnia 1989 r. przeszedłem na rentę. Próbowałem szczęścia w centrali ZUS w Departamencie Świadczeń dla Rolników, gdzie pracowałem tylko jeden kwartał, a następnie w Ogrodzie Botanicznym PAN. Zorganizowałem tu kolekcję roślin motylkowych jadalnych. Dyrekcja ogrodu otrzymała tylko 50% środków na utrzymanie załogi. Wymówiono 30 osobom i wszystkim emerytom, w tym i mnie. Po skompletowaniu niezbędnych świadectw pracy, które dokumentowały 40-letni staż pracy łącznie z nauką w szkole wyższej, złożyłem wniosek o emeryturę. Nigdy nie pchałem się łokciami na stanowisko. Powierzoną pracę starałem się wykonywać solidnie i odpowiedzialnie. Za nią wielokrotnie byłem nagradzany nagrodami pieniężnymi oraz Nagrodą Ministra Rolnictwa. Otrzymałem w nagrodę talon na samochód osobowy. Za wieloletnią pracę zostałem odznaczony Medalem 40-lecia. Nigdy nie umiałem zabiegać o odznaczenia tak jak inni, że całe

piersi mieli zasłane medalami. Na rentę przeszedłem na podstawie wyników badań echa serca, które wykazało niezbiecie, że przeżyłem zawał serca w miejscu pracy.

Po październiku 1956 r. otworzyły się możliwości wyjazdu na Zachód. W roku 1963 wyjechałem prywatnie do Anglii w celu odwiedzenia rodziny. Byłem tam sześciokrotnie, w 1980 r. by pożegnać na zawsze ojca, a w 1990 r. siostrę. Pobytu tam otworzyły mi oczy na wiele spraw ekonomicznych, organizacji pracy i kultury. Następnie wyjeżdżałem do Jugosławii i Francji na 28 dni. Zwiedziłem w miarę szczegółowo Paryż, Bretanię i południe. Wylosowałem 100 dolarów i pojechałem na wycieczkę do Austrii i Włoch. Była to wycieczka autokarowa, przejechaliśmy Słowację, Austrię, zwiedzaliśmy Wiedeń oraz Włochy. Zobaczyłem Rzym, Wenecję, Florencję, Padwę, Monte Cassino, Pompeje, Rimini. Byłem dwukrotnie służbowo na wystawie sprzętu rolniczego w Lipsku. Zwiedzałem również zabytki w Dreźnie i Berlinie.

Pisałem i publikowałem artykuły do czasopism, jak „Mechanizacja Rolnictwa”. Byłem biegłym w sądzie wojewódzkim w zakresie rolnictwa. Moim zadaniem było opracowywanie opinii dla sądu, szczególnie przy podziałach majątkowych. Miałem satysfakcję, gdy przychodzili uczestnicy procesów i dziękowali za wnikliwe opracowanie opinii, na podstawie której sąd wydawał orzeczenie godzące zważnione strony. Po przejściu na emeryturę zapisałem się do Zespołu Miłośników Historii PAN na Starym Mieście, gdzie uczestniczyłem w ciekawych odczytach historyków profesjonalnych z PAN, UW i wojskowości. Wróciły moje zainteresowania przeszłością mego rodzinnego Urzędowa. Wszczepiła mi je mama, która czytała mi interesujące wiadomości na ten temat. W roku 1937 zaprowadziła mnie do Aleksandra Golińskiego, znanego regionalisty, który udostępnił mi do zapoznania się zbiory archiwaliów. Gromadziłem materiały na temat Urzędowa nieraz kosztem nauki w szkole średniej i na studiach, ale tego nie żałuję. Jestem czynnym członkiem Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej od chwili jego powstania. W organie tego Towarzystwa opracowałem i opublikowałem siedem życiorysów zasłużonych urzędowników, chroniąc ich przed zapomnieniem, oraz jedną z ważniejszych dat przeszłości Urzędowa i drugą powiatu urzędowskiego. Zgromadzone przeze mnie materiały w roku 1994 przekazałem Towarzystwu.

Do egzaminów starałem się przygotowywać solidnie, zdawałem sobie sprawę, iż wiedzę zdobywam dla siebie. Stopnie miałem przeciętne, zaledwie z kilku przedmiotów dobre, a spowodowane to było tym, że każdorazowo przed egzaminem denerwowałem się, często nie sypiałem po nocach, lęk rodził się, raz pomyliłem się, robiąc wrażenie nieprzytomnego. Lęk i zdenerwowanie były niezależne ode mnie. Moje wrażenia z jednego egzaminu. Moja ciocia, jak podawałem wyżej, była wielką patriotką, nienawidziła kolchozów (rolniczych spółdzielni produkcyjnych), tak mnie wrogo nastawiła, że gdy profesor zapytał mnie z ekonomii rolnictwa o podział dochodu w trzech typach rolniczych spółdzielni produkcyjnych, zastrzeżił mnie, nie mogłem wybrnąć. Egzamin musiałem powtórzyć.

Punktem zwrotnym w moim życiu była śmierć mamy. Przeżyłem boleśnie jej odejście.

We wrześniu 1956 r. ożeniłem się z Anną Młyńską, nauczycielką Technikum Rolniczego w Smostrzalu w woj. bydgoskim. Żona ukończyła Wydział Rolniczy SGGW i pracuje w Instytucie Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej na stanowisku głównego specjalisty.

Po śmierci mamy, wyjeździe ojca za granicę i zawarciu małżeństwa wypadło mi być likwidatorem gospodarstwa i sprzedać je wraz z domem. Za uzyskane pieniądze zakupiłem dom z ogrodem w Opaczy pod Warszawą. Po sześciu latach sprzedałem go i zamieniłem mieszkanie w Warszawie na większe, o powierzchni 70 m². To, że jestem posiadaczem mieszkania własnościowego, zawdzięczam moim rodzicom. Starałem się w miarę swoich możliwości zakupić niezbędne meble i urządzenia w celu zmechanizowania prac domowych, by ulżyć żonie. Nigdy nie przywiązywałem uwagi do strojów, ubierałem się raczej skromnie i konserwatywnie, lecz praktycznie. W młodym wieku, gdy brat mojej mamy z Detroit w USA przysyłał paczki i dolary, ubierałem się bardzo modnie. Byłem młodzieńcem szczupłym, a po pięćdziesiątce zaczęło mi przybywać kilogramów tak, że obecnie zmuszony jestem odchudzać się. Podlegałem słabościom polskiego sarmaty w odżywianiu. Muszę przyznać, że moje życie składało się z lepszych i gorszych okresów. Największą radością była dla mnie wiadomość, że żona urodziła syna. Urodzenie córki przyjąłem z nie mniejszą radością. Kontakty z ludźmi oparte były na wybiórczym doborze tak, jak nauczono mnie w domu. Dla takiej grupy ludzi urządzaliśmy przyjęcia, ale dzisiaj te kontakty zerwały się. Opowiadałem o swych życiowych sukcesach lub niepowodzeniach ludziom spotkanym na wczasach lub w sanatorium.

Wszystkie przygody związane ze zmianą pracy, z odejściem dyscyplinarnym, sprawiły, że zebrałem trochę doświadczeń i zawsze stawał mi przed oczyma prof. Wojtysiak. Myślałem wtedy, jak on by postąpił w podobnej sytuacji.

Dużo energii poświęciłem na stworzenie dobrych warunków materialnych w domu. Nawet działkę pracowniczą traktowałem w ten sposób, by zapewnić lepsze zaopatrzenie w owoce i warzywa. Większość wysiłku poświęcałem dzieciom, by ukończyły naukę w szkołach średnich i wyższych, a w wakacje mogły wyjeżdżać na kolonie czy obozy. Obydwoje byli po 9 razy i to mi się udało.

Dzieci. Syn Arkadiusz ukończył Wydział Technologii Drewna SGGW, nie pracuje w swoim zawodzie. Córka Maria jest studentką III roku Wydziału Nauk Ekonomicznych UW, studiuje zaocznie, pracuje w banku.

Nikomu w życiu nie zazdrościłem dóbr materialnych. Obecnie mogę zazdrościć jedynie dobrego zdrowia. Z wiekiem zaczynają nawiedzać mnie choroby serca, prostaty, złamania nogi i jej operacje. Dotychczas byłem mało odporny na ból fizyczny i bardzo wrażliwy na cudze nieszczęścia. Po kolejnych pobytach w szpitalach stałem się bardziej odporny i mniej reaguję emocjonalnie.

Gdyby emerytura była nieco wyższa, mógłbym żyć godnie. Nie korzystałem z żadnych przywilejów ani protekcji, a jedynie własną pracą zdobywałem uznanie.

Warszawa, 9 IX 1997 r.

Marian Surdacki

Przez życie z Janem Pawłem II

Liczne pobyty we Włoszech, szczególnie w Rzymie, których łączny czas objął cztery lata mojego życia, otworzyły mi szerokie perspektywy rozwoju naukowego i trwającej do dziś współpracy ze środowiskiem historyków włoskich, a nade wszystko dały niewyobrażalną wcześniej nawet w najbardziej fantastycznych marzeniach możliwość ośmiokrotnego, bezpośredniego spotkania i krótkiej wymiany myśli z Janem Pawłem II. Tyle razy, a nawet więcej miałem szczęście ścisnąć i ucałować jego dłoń, bowiem okazje takie zdarzyły się jeszcze w czasie audiencji generalnych na placu św. Piotra i w auli Pawła VI. Wagę tych spotkań doceniłem dopiero z perspektywy lat, kiedy odszedł już największy i najwybitniejszy Polak w tysiącletnich dziejach naszego państwa i naszego narodu i stał się błogosławionym a zapewne niedługo dostąpi aureoli świętości. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że najlepsze i najbardziej efektywne lata mojego życia, naznaczone zdobywaniem kolejnych stopni naukowych, małżeństwem, pojawianiem się na świecie dzieci, radosnymi i szczęśliwymi chwilami, ale także tragicznymi i bolesnymi wydarzeniami, przeplatały się spotkaniami z tym docześnie już świętym Człowiekiem. W czasie krótkich, trwających od kilkadziesiątu sekund do kilku minut, spotkań mogłem podzielić się z nim najgłębszymi przeżyciami, prosić go o modlitwę w intencji najbliższych czy o pocieszenie w momentach szczególnie ciężkich. Tak trudna i rzadko osiągalna dla wielu możliwość osobistego kontaktu z papieżem zjawiała się na tyle często i na ogół bez żadnych z mojej strony zabiegów, że będąc młodym człowiekiem, nie zawsze te wielkie momenty doceniałem, traktowałem je po trosze jako wyjątkową przygodę i okazję do zrobienia fotografii, a nie jako doniosłe i głębokie przeżycie duchowe. Niekiedy, mając szansę na kolejne spotkanie z Ojcem Świętym, świadomie z nich rezygnowałem, w przekonaniu, że jest wielu innych, którzy by pragnęli dostąpić tego zaszczytu. Przecież jego ograniczone siły ludzkie, a później stan zdrowia, nie pozwalały mu zaspokoić fizycznie pragnień wszystkich, którzy choć raz w życiu chcieliby coś od niego usłyszeć lub coś mu powiedzieć.

Opisy spotkań z Ojcem Świętym przedstawię w ujęciu chronologicznym, w jakim się odbywały. Choć od pierwszego z nich minęło 31 lat, to jednak ich przebieg i treść, pomimo braku jakichkolwiek notatek, dokładnie się we mnie zachowały, choć naturalnie nawet najlepsza pamięć ludzka bywa ulotna i nie jest w stanie z detalami zrekonstruować minionej przeszłości, jak chociażby kamera czy inne techniczne rejestratory. Na szczęście pozostały spłowiałe i wyblakłe nieco kolorowe fotografie, które uchwyciły i jakby zatrzymały przemijający czas. Patrzenie na nie pomaga mi przenieść się z terażniejszości w przeszłość i odtworzyć to, co dziś jest już prawdziwą, tak piękną i ważną dla mnie i dla mojej rodziny, historią. Piszę rodziny, ponieważ w niektórych spotkaniach

z Karolem Wojtyłą jako papieżem uczestniczyła także moja żona Ewa i starsze dzieci – Gabriel i śp. Marta. Wymieniłem tu celowo nazwisko papieża, bowiem był on ponad dwadzieścia lat wykładowcą, profesorem i kierownikiem Katedry Etyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, na którym w latach 1975–1980 studiowałem historię i który pozostaje pierwszym, jedynym i zapewne ostatnim miejscem mojej pracy zawodowej i naukowo-dydaktycznej. Pomimo że na samym progu lat sześćdziesiątych biskup, później arcybiskup i kardynał Wojtyła wraz z prymasem Stefanem Wyszyńskim głęboko i trwale zakorzenili się w mojej dziecięcej świadomości jako bohaterskie i „mityczne” postacie Kościoła polskiego, to jednak po raz pierwszy naocznie papieża zobaczyłem dopiero po konklawe wynoszącym go na Stolicę Piotrową, dokładnie w 1979 r. w Częstochowie, podczas jego pierwszej pielgrzymki do Polski. Wtedy jednak mogłem zobaczyć go tylko z dala, najpierw z placu częstochowskiego, a potem z nieco bliższa w bazylice częstochowskiej w czasie spotkania z pracownikami i studentami KUL. Natychmiast po śmierci papieża moja uczelnia jako pierwsza przyjęła patronat i imię swojego wielkiego profesora, stając się odtąd Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II. Przebywając w 2006 i 2011 r. po raz kolejny w Rzymie modliłem się przed grobem błogosławionego, wielkiego Polaka, który aż przez ćwierć wieku przewodził Kościołowi powszechnemu i był nie tylko jednym z najwybitniejszych w jego dziejach zwierzchników Stolicy Apostolskiej, ale także jedną z najważniejszych osobistości w ogóle i moralnym przywódcą całego świata. Wiem też, że kiedykolwiek jeszcze będę w Wiecznym Mieście moje kroki intuicyjnie skierują do miejsca spoczynku ziemskich relikwii mojego, jak i setek milionów innych ludzi, patrona, który, ufam i głęboko w to wierzę, pomógł mi już bardzo w trudnych momentach, śmiem twierdzić, że uratował mi życie, bo o to prosiłem przez jego wstawiennictwo.

Należę do osób, które jako jedne z pierwszych dowiedziały się o wyniku konklawe z 16 października 1978 r. Być może było to nawet kilka lub kilkanaście minut po dokonanej elekcji nowego papieża. Tego dnia późnym popołudniem słuchałem wykładu z historii historiografii w sali 109, na pierwszym piętrze głównego gmachu KUL, prowadzonego przez doc. Hannę Dylagową. Z jakiejś, nieznannej mi dzisiaj, przyczyny musiałem wyjść z wykładu. Kiedy przechodziłem koło drzwi kancelarii rektoratu, dosłownie wyskoczył stamtąd z radością jakiś pracownik, krzyząc, iż dopiero co otrzymał telefon, telex czy jakąś tam depezę o wyborze Karola Wojtyły na papieża. Wtedy błyskawicznie pobiegłem do sali wykładowej i oznajmiłem to pozostałym. Na tym skończył się wykład, a my w kilku bieglismy w podskokach po Krakowskim Przedmieściu do akademika przy ulicy Niecałej (dawniej Sławińskiego), wykrzykując słowa: „mamy papieża”, „Polak papieżem”.

Dopiero gdzieś koło ulicy Chopina usłyszeliśmy bicie dzwonów kościelnych, dla wielu pewnie tajemnicze i zagadkowe. Media przecież nie natychmiast poinformowały Polaków o tym fakcie, w gabinetach cenzorów wrzała zapewne praca nad takim sformułowaniem komunikatów, by nie potęgować radości i nie wzbudzić ogólnonarodowej euforii, raczej umniejszyć wagę tego faktu.

Uświadomiwszy sobie zasygnalizowane tu tylko wydarzenia i najbardziej osobiste odczucia, nadałem swoim wspomnieniom metaforyczny tytuł *Przez życie z Janem Pawłem II*, ponieważ w różnych etapach życia był on żywym i stałym gościem moich myśli i przeżyć, a od czasu do czasu towarzyszył mi także w sposób fizyczny przez podanie i uścisk ręki oraz rozmowę, epizodyczną z punktu widzenia czasu jej trwania, ale jakże fundamentalną duchowo dla mnie w treści.

O napisaniu tych refleksji myślałem od kilkunastu lat. Już wtedy zbyt dobrze wiedziałem, że spotkania z Ojcem Świętym były najważniejszymi w moim życiu, a tego, czego doznałem dzięki łaskawej Opatrzności nie mogę zachować tylko dla siebie. Do pisania zachęcało mnie wiele osób, ostatnio ks. prof. Jan Śledzianowski z Kielc. Twierdził, że nie każdy, nawet on jako kapłan, miał szczęście tylekroć rozmawiać z polskim papieżem. Podsuwał mi nawet wskazówki, by tekst nie był tylko relacją, a pewnym przesłaniem, lecz jego pomysłów na dziś nie jestem w stanie sprostać. Wymagałoby to głębszych przemyśleń oraz dużo więcej czasu i pracy. Bałem się pisać, by nie być posądzonym o egzaltację i megalomanię; zabrzmi to może niestosownie, albo wręcz brutalnie, lecz czekałem na śmierć Ojca Świętego. Łatwiej jest bowiem pisać o zmarłym, ponadto mimo ciężkiego stanu zdrowia papieża nikt nie wiedział, czy wcześniejsze spotkania będą ostatnimi. Następne lata zwłoki wynikały z oczekiwania na beatyfikację, która mogła się zdarzyć każdego roku, a gdy nastąpiła, ta okoliczność wydawała mi się najbardziej odpowiednia do stworzenia jakiegoś tekstu. Mogę już bowiem o Nim pisać nie tylko jako o wielkim Człowieku, ale Błogosławionym Ojcu Kościoła. Na kanonizację nie chcę już czekać, bo nikt nie zna swego dnia ani godziny, można więc łatwo nie zdążyć.

Prezentowany tekst posiada charakter wspomnieniowo-refleksyjny. W pierwotnym zamierzeniu miał być swego rodzaju faktograficzną kroniką kolejnych spotkań autora z głównym jego protagonistą, pisaną z perspektywy 30–10 lat. Zaczynając jego tworzenie nie mogłem się ustrzec osobistych refleksji i ocen, które mimowolnie i natrętnie naciskały klawisze komputera.

Po raz pierwszy do Rzymu, na roczny staż naukowy, przyleciałem samolotem w poniedziałek 28 października 1980 r. W oczekiwaniu na wyjazd do Perugii na dwumiesięczny kurs języka włoskiego, sponsorowany przez Wandę Gawrońską (siostrzenicę błogosławionego Pier Giorgia Frassatiego¹), fundatorkę włoskiego stypendium (*Centro Incontri e Studi Europei*), zostałem na kilka dni

zakwaterowany u jej siostry Nelli O'Meara w jej mieszkaniu na czwartym piętrze apartamentowca na Piazza della Città Leonina, dosłownie 30 metrów od Piazza San Pietro. Nie mogłem więc nie skorzystać z okazji pójścia na audiencję generalną w środę 30 października. Szedłem na nią dosłownie niecałą minutę. Było cudowne, upalne nawet jak na Italię o tej porze roku, południe. Miałem bardzo dużo czasu, więc zasiadłem jak najbliżej tronu papieskiego wśród grupy Polaków, którzy najutrz wracali do Polski, co stanowiło ewenement, bo dla wyjeżdżających wtedy z kraju rodaków podróż z reguły była w jedną stronę. Czekając na pojawienie się papieża, gorliwie pisałem korespondencję i wrażenia z pierwszych dni pobytu na obcej ziemi, które korzystając z okazji przesyłałem do kraju. Pierwsze, na żywo, wizualne spotkanie z Ojcem Świętym odbyło się na odległość, ponieważ byłem tylko „małą kroplą” wśród kilkudziesięciotysięcznego tłumu wiernych. Było ono dla mnie dużym przeżyciem, jednak nic więcej z niego nie pamiętam, choćby jakiegoś szczegółu z przemówienia papieskiego.

Zupełnie inny charakter przybrało następne spotkanie z Ojcem Świętym, którego radosne okoliczności doskonale utkwily mi w pamięci. Po powrocie z Perugii na trzy dni przed Bożym Narodzeniem zamieszkałem u drugiej siostry Wandy Gawrońskiej – Giovanny Gilardino, na czwartym piętrze starego pałacu na Vicolo del Mal Passo, tuż przy Piazza di Fiori, gdzie kilka wieków wcześniej dokonano egzekucji Giordano Bruno. Tam spotkałem też ich matkę Lucianę Frassati – siostrę Pier Giorgia. W obliczu świąt, po raz pierwszy spędzanych poza rodziną, czułem się samotnie, choć na wieczór wigilijny zostałem zaproszony do licznej, sławnej i wpływowej we Włoszech rodziny Gawrońskich-Frassati. Około godziny 16.–17. wybrałem się jeszcze na spacer do Watykanu. Jak wielkie było moje zdumienie, gdy w okolicach placu św. Piotra, przy domu polskim na Via Pfeifer spotkałem polski autokar z pielgrzymką studentów z KUL-u, a wśród nich znajomą, z którą łączyły mnie więzy trochę więcej niż sympatii. W planie mieli oni udział w bożonarodzeniowej pasterce w bazylice św. Piotra, którą miał celebrować Jan Paweł II. Rezygnując z udziału w wigilijnym spotkaniu u włoskich znajomych, przyłączyłem się do polskiej grupy, z którą po złożeniu sobie życzeń udałem się na pasterkę. Pielgrzymka była wcześniej zorganizowana, toteż mieliśmy miejsce bardzo blisko papieża. Z pasterki najbardziej utkwily mi w pamięci cudowna muzyka, śpiew kolęd i innych pieśni w wykonaniu chóru watykańskiego i towarzyszącej mu orkiestry. Tak więc 24 grudnia 1980 r. przeżyłem niespodziewanie najpiękniejszą w swoim życiu wigilię i pasterkę. To co najlepsze miało jednak dopiero nastąpić. I tu moja kronikarska pamięć jest zawodna, bo albo w uroczystość św. Szczepana, albo dzień później papież przyjął w sali audiencyjnej całą lubelską, liczącą około czterdzieści osób, grupę na prywatnym spotkaniu. Razem z nami była podobna w liczbie pielgrzymka młodzieży z KUL-u, zorganizowana przez teologów. Spotkanie poprzedziło przemówienie papieża, połączone z modlitwą. Siedziałem w pierwszym rzędzie, mając przekonanie, że Ojciec Święty wpatruje się tylko we mnie. Zresztą identyczne wrażenie odnosi-

¹ Po raz drugi obiecuję, że o „przygodach” z Pier Giorgiem Frassati jeszcze napiszę. Jest to bowiem drugi bardzo bliski mi błogosławiony, w którego domu i pokoju miałem możliwość mieszkać i przebywać, a kilkadziesiąt lat po jego śmierci nieść na swych barkach jego trumnę z doskonale zachowanym ciałem. A działo się to w 1981 r. w podalpejskim Pollone, w którym spoczywał na tamtejszym cmentarzu.



Pierwsze osobiste spotkanie z Ojcem Świętym w grupie studentów KUL-u, grudzień 1980 r.

łem także podczas kolejnych spotkań. Musiał posiadać jakąś nadprzyrodzoną moc koncentracji, ogarniania i przeszywania wzrokiem całego tłumu, gdyż analogicznymi odczuciami dzieliły się ze mną również inne osoby. Kulminacyjny moment stanowiły krótkie autoprezentacje uczestników audiencji. Ustawieni w szeregu, twarzą do podchodzącego do nas po kolei Ojca Świętego, każdy z osobna mógł powiedzieć coś o sobie, zadać pytanie, wyrazić jakąś myśl. Ja, przedstawiając się, oznajmiłem, że jestem historykiem z KUL-u i przebywam w Rzymie na stypendium. Wtedy usłyszałem pytanie: „To pewnie od Kłoczowskiego?”. Odpowiedziałem twierdząco, wtedy zapytał co tu robię i w jakiej instytucji przebywam. Gdy odpowiedziałem, że odbywam staż u prof. Gabriele De Rosy, a jestem tu dzięki wsparciu finansowemu Wandy Gawrońskiej, poczułem, że mój rozmówca doskonale zna obie postacie, tym bardziej że to dzięki jego decyzji rodzina Gawrońskich mogła wznowić rozpoczęty jeszcze przed II wojną światową proces beatyfikacji wspomnianego Pier Giorgia. Po uścisku dłoni otrzymałem, tak jak wszyscy, różaniec papieski w brązowej saszetce, który przechowywałem jako najdroższy talizman.

Po świętach, a dokładnie po Trzech Królach 1981 r., od których we Włoszech na serio kończy się przerwa bożonarodzeniowa, rozpocząłem obowiązki uniwersyteckie na rzymskiej *Sapienzie*. W międzyczasie uczestniczyłem (jak również zawsze później) w Drodze Krzyżowej odprawianej przez papieża w Coloseum. Byłem też na odprawianej przez niego w bazylice Piotrowej mszy rezurekcyjnej. Uroczyste śniadanie wielkanocne, a u nich w zasadzie obiad, miałem zaszczyt zjeść w mieszkaniu Wandy Gawrońskiej przy bazylice Santa Maria Intrastevere w towarzystwie dyrektora watykańskiego „Osservatore Romano” ks. Adama Bonieckiego (o którym w tej chwili głośno) i Stefana Frankiewicza, późniejszego ambasadora polskiego przy Watykanie, wówczas redaktora naczelnego polskiej edycji wspomnianej gazety.

Następnego spotkania z papieżem nie zapomnę nigdy. Ze względu na okoliczności, mam je zarejestrowane

w pamięci jak na taśmie lub kronice filmowej. Był początek maja 1981 r., gdy do Rzymu przybyła z Lublina wycieczka działaczy i członków Klubu Inteligencji Katolickiej, kierowana przez mojego przyjaciela, późniejszego posła z pierwszych lat III Rzeczypospolitej, Ryszarda Gajewskiego. On, dowiedziawszy się o moim pobycie we Włoszech, poprosił mnie listownie o pilotowanie wycieczki i pomoc językową, przy okazji przywiózł mi paczkę od rodziców ze smalcem, który wśród Włochów budził sensację, traktowany jako produkt dla ludzi niejadalny, a używany co najwyżej w przemyśle. Gdy spotkaliśmy się na miejscu, opowiedział, że po drodze zabrał do Częstochowy mego przyjaciela Józka Lewickiego i trzy studentki pierwszego roku psychologii, które nasłuchawszy się opowieści o mnie od kolegów, poprosiły o przekazanie serdecznych pozdrowień dla nieznanego im „Mariana z Rzymu”. I jak nie wierzyć w niebiańską providencję, skoro poznana przeze mnie w listopadzie 1981 r., zaraz po powrocie z wojaży włoskich, dziewczyna Ewa Tomczykowska – od 15 stycznia 1983 r. moja żona, okazała się jedną z pozdrawiających mnie w autokarze jadącym do Rzymu. Wycieczce lubelskiej towarzyszyłem przez cały okres włoskich podróży, m.in. na Monte Cassino. Ukoronowaniem pobytu gości z Lublina było poranne spotkanie z Ojcem Świętym, zorganizowane w ogrodach watykańskich 12 maja o godzinie 7. rano, w przeddzień wyjazdu do kraju. Aura była wymarzona, toteż pielgrzymi, wśród których przeważały osoby w średnim i starszym wieku, otoczyli z czterech stron papieża, prowadząc z nim swobodną rozmowę. Panowała radosna atmosfera, bo spotkanie było niezwykle spontaniczne, bez żadnego protokołu. Wtedy nie zachowywano jeszcze tak rygorystycznych środków ostrożności, nie widzieliśmy w pobliżu żadnych służb porządkowych i agentów bezpieczeństwa. Prawdopodobnie jakąś kontrolę musieliśmy przejść przy przekroczeniu wrót Watykanu. Na zachowanym zdjęciu (zamieszczonym na tyle okładki tego numeru „Głosu”) stoję po prawej stronie tuż za papieżem, a obok mnie, również z tyłu mój kolega Edward Balawajder. Gdyby nie mój uśmiech i chyba zbyt długie włosy można by nas wziąć za ochronę, takie przynajmniej komentarze i skojarzenia słyszałem z ust wielu osób, które oglądały tę fotografię.

To, co się zdarzyło około trzydzieści godzin później wstrząsnęło całym światem, a lubelskimi pielgrzymami w sposób szczególny, mając na względzie opisane wyżej spotkanie w ogrodach watykańskich. Nasza grupa, natchniona duchową radością dnia poprzedniego, 13 maja 1981 r. wyruszyła razem ze mną w drogę powrotną do Polski. Ja podjąłem się pilotowania ich i służenia pomocą językową aż do granicy włosko-austriackiej, dokładnie do Udine, z którego 14 maja wróciłem pociągiem do Rzymu. W podróży na północ organizatorzy wycieczki postanowili zrobić przerwę na nocleg tuż przed albo za Florencją po to, by móc zwiedzić perłę włoskiego renesansu. Zatrzymawszy się około godziny 14.–15. przy jednym z hoteli, wysłali mnie do recepcji celem załatwienia spraw kwaterunkowych. W holu hotelowym siedziało mnóstwo ludzi i panowało niecodzienne zamieszanie. Spojrzałem w ekran telewizora i usłyszałem informację

o strzelaninie na placu św. Piotra w czasie audiencji generalnej i śmiertelnym prawdopodobnie postrzeleniu Jana Pawła II. Takie były pierwsze komentarze w telewizyjnej relacji na żywo. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, czy papież przeżył i jaki jest jego los po odjeździe z miejsca zamachu ambulansów do kliniki Gemelli. Błady i osłupiały z przerażenia pobiegłem do autokaru, by poinformować wszystkich o tragedii. Można sobie wyobrazić, co działo się w samochodzie. Słychać było tylko spontaniczny szloch i lament, niektórzy zasłabli. Większej ironii losu i ekstremalnej huśtawki nastroju pielgrzymi lubelscy nie mogli przeżyć. Zamiast wracać do swych domów w wielkim duchowym uniesieniu i z uśmiechem na twarzy, czekała ich długa podróż w smutku i niepewności, czy przybywając do Polski nie usłyszą hiobowej wieści. Ja, przebywając w Rzymie, doskonale orientowałem się w stanie zdrowia papieża, który szybko dochodził do zdrowia. Gdzieś chyba po 5 lub 6 tygodniach (połowa czerwca) od zamachu miałem okazję być razem z prof. Wiesławem Müllerem z KUL-u na południowej mszy św. w bazylice św. Piotra, podczas której na wewnętrznym chórze po raz pierwszy od 13 maja ukazał się i krótko przemówił, słabym jeszcze głosem, Jan Paweł II. Było to ostatnie spotkanie na odległość z Ojcem Świętym, które zapamiętałem przed moim powrotem do Polski 14 września 1981 r.

Wróciwszy do kraju w najgorszym chyba momencie, do kompletnie ogołoconych ze wszystkiego półek sklepowych, czułem wielką pustkę i beznadziejność oraz wyczuwalną atmosferę stanu wojennego, przygotowywanego przez zbrodniczy reżim komunistyczny i Wojciecha Jaruzelskiego, niestety do dziś „bohatera” wielu Polaków. Do rzeczywistości sprowadziło mnie podjęcie od 1 października pracy naukowo-dydaktycznej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, do której musiałem się przygotować. Kraj zalała fala strajków. Podczas takiego strajku na KUL-u, w ostatnich dniach listopada 1981 r. poznałem przyszłą żonę. Dotychczasowy entuzjazm, którego przebywając za granicą nie miałem okazji zasmakować, został stłamszony mrocznymi „urokami” stanu wojennego. Był koniec listopada 1982 r., kiedy spotkał mnie młodszy kolega z KUL-u Szczepan Wojtasik, organizator wyjazdu grupy studentów lubelskich na spotkanie młodzieży *Taize* w Rzymie, które miało się odbywać nazajutrz po Świętach Bożego Narodzenia, na przełomie 1982/1983 r. Wiedząc, że znam włoski, poprosił mnie o wyjazd z nimi i pilotowanie grupy. Kategorycznie odmówiłem, ponieważ dokładnie w Nowy Rok, 1 stycznia 1983 r., mieliśmy już umówioną datę ślubu. Nadal jednak bardzo nalegał, powiedział, że mogę również zabrać ze sobą narzeczoną, proponował też, żebyśmy ślub wzięli w Rzymie, może nawet u papieża. Nie to mnie jednak zmięczyło. Ja osobiście nie czułem potrzeby wyjazdu do Włoch, dopiero z nich powróciwszy, pomyślałem jednak, że taka podróż mogłaby stanowić wielką przygodę dla Ewy. I tak zapadła decyzja o przełożeniu ślubu na 15 stycznia, co było przedsięwzięciem karkołomnym, bo wszystko było już ustalone – a przecież panoszył się stan wojenny i były puste półki. Do załatwiania wiz i paszportów włączył się sam ówczesny wiceminister,

jednocześnie kierownik Katedry Ekonomii Społecznej prof. Jerzy Ozdowski, natenczas prowadzący zajęcia na KUL-u. Centralnym momentem pobytu młodzieży *Taize* było przyjęcie przez papieża naszej grupy w jednej z kameralnych sal papieskich tuż przed Nowym Rokiem (fotografia na okładce). Ja z narzeczoną zostaliśmy potraktowani szczególnie, bowiem ks. Dziwisz, który organizował audiencję, doniósł papieżowi, że są tutaj przyszli małżonkowie. Gdy powiedzieliśmy o przełożeniu ślubu, Ojciec Święty wziął nas w ramiona, złożył życzenia ślubne i udzielił błogosławieństwa na życie małżeńskie. Wydarzenia tego nie będę komentował, bo żadne słowa moich odczuć nie wyrażą. Wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo realny był ślub w Watykanie, tyle tylko, że taką ewentualność ze względu na uwarunkowania rodzinne, sami odrzuciliśmy. Przecież byłby to ślub bez rodziców i rodzeństwa. Do dzisiaj jednak nie wiem, jak to się stało, że nie posiadamy fotografii w objęciach z papieżem, ale w końcu nie to było wtedy najważniejsze.



Na prywatnej audiencji, listopad 1986 r.

Na kolejne spotkanie z Janem Pawłem II czekałem ponad trzy lata, do wyjazdu na stypendium w pierwszych dniach listopada 1986 r. Nie potrafię przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach trafiłem na prywatną, wieczorową audiencję do Ojca Świętego, która miała miejsce około 10–15 listopada tegoż roku. Wydaje mi się, że była ona dziełem i wynikiem zabiegów Wandy Gawrońskiej, która na czas pobytu w Rzymie ulokowała mnie w mieszkaniu swego przyjaciela, architekta Roberto De Luca przy Via delle Scarpette. Mieszkałem tam przez ponad trzy tygodnie z redaktorem „Tygodnika Powszechnego” Jerzym Turowiczem i wybitnym klasykiem, poetą i tłumaczem starożytnych dzieł łacińskich Zygmuntem Kubiakiem. Drugiego z nich poznałem już w pierwszych dniach pobytu w Rzymie w 1980 r. Jego córka Monika przez cały dzień oprowadzała mnie wtedy po Wiecznym Mieście, którego blask i wielkość, po raz pierwszy doświadczana, poraziły mnie nie tylko ze względów kulturowo-architektonicznych, ale również bogactwem i kolorystyką witryn sklepowych oraz spontanicznością zachowania ludzi. Pokój Turowicza był przechodni, toteż wracając nieraz późno na nocleg, przechodziłem na palcach, by nie zaburzyć jego snu. Spotkanie mógł mi też zorganizować dominikanin ojciec Konrad Hejmo, którego miałem okazję osobiście

poznać w 1981 r. we wspomnianym już mieszkaniu Giovanni Gilardini. Na audyencji papież zainteresował się okolicznościami mego pobytu we Włoszech. Nie omieszkałem też poinformować go o tym, że jestem pracownikiem KUL-u i przybyłem w celu przeprowadzenia wstępnej kwerendy do przyszłej pracy habilitacyjnej, a następnie zamierzam wyjechać do Perugii na doskonalenie włoskiego, co też za parę dni uczyniłem.



Spotkanie z uczestnikami konferencji, maj 1988 r., z lewej prof. Jerzy Kłoczowski

Liczne okazje do widywania Ojca Świętego miałem w dwuleciu 1988–1989, przebywając we Włoszech jako stypendysta Historycznej Szkoły Włosko-Polskiej przy Instytucie Luigi Sturzo w Rzymie. Od 2 lub 3 maja w siedzibie Włoskiego Instytutu Historii Mediewistycznej odbywała się przez kilka dni wielka międzynarodowa konferencja na temat chrześcijaństwa wschodniego, której przewodniczył mój włoski mistrz Gabriele De Rosa (pisałem o nim w „Głosie” 2010). Brała w niej udział plejada wybitnych historyków z Włoch, Polski, Francji, Stanów Zjednoczonych, Ukrainy i innych krajów. Mnie jako stypendystę prof. De Rosa poprosił o pomoc w organizacji i przeprowadzeniu konferencji. Na zakończenie obrad, którym patronował sam papież, wszyscy udaliśmy się do Watykanu, gdzie Ojciec Święty zamienił z każdym z uczestników konferencji parę słów. Wszystko odbyło się według ustalonego porządku, polegającego na tym, że prof. Jerzy Kłoczowski przedstawiał papieżowi kolejno podchodzące do niego osoby. Pamiętam, zrobił to także w stosunku do mnie, lecz nie pamiętam jaka była reakcja słowna Dostojnego Gospodarza komnat watykańskich. Na pewno nie były to długie wymiany zdań, biorąc pod uwagę, że chętnych do rozmowy było blisko 100 gości. Z rzeczy banalnych i prozaicznych, pamiętam, że nie czułem się zbyt komfortowo, ponieważ, „waletując” poprzedniej nocy u kogoś, nie miałem możliwości się ogolić.

W ostatnim dniu sierpnia 1988 r. dołączyła do mnie żona z dziećmi – pięcioletnią Martą i dwuletnim Gabrielem. Zamieszkaliśmy w konwencie zakonu trzynitarzy w Palestrinie, oddalonej od Rzymu ok. 30 kilometrów. Mieszkaliśmy tam ponad rok. Ja codziennie dojeżdżałem

do bibliotek i archiwów rzymskich, zbierając w nich materiały do pracy habilitacyjnej. Żona natomiast często, na zmianę z którymś z dzieci, jeździła na środowe audyencje z papieżem, odbywające się w zależności od pory roku na placu św. Piotra, bądź w auli Pawła VI. Niekiedy i ja jej towarzyszyłem. Pozostały po tym wzruszające fotografie z wyciągającym do nas ręce papieżem i błogosławiącym nasze dzieci. Żałuję tylko, że w czasie tak długiego pobytu w Rzymie nie zadbałem o możliwość bardziej prywatnego spotkania całej mojej rodziny z Ojcem Świętym. Wtedy żyłem jednak tylko nauką, oddając się bez reszty, nawet za cenę zdrowia, penetracji niewyczerpanych rzymskich zbiorów archiwalnych. Z tamtego pobytu zapamiętałem pierwszy raz oglądaną tam procesję Bożego Ciała, którą prowadził Jan Paweł II na trasie od bazyliki św. Jana na Lateranie do bazyliki Santa Maria Maggiore.



Audyencja generalna. Papież podchodzi do Ewy, Mariana i Gabrysia Surdackich, luty 1989 r.

Mogę stwierdzić, że dotychczasowe „przygody” z Janem Pawłem II miały charakter spontaniczny, młodzieńczy i nieco beztrojski, bo przychodziły mi zbyt łatwo. Tak do końca nie uświadamiałem sobie ich doniosłości. Wtedy nasz papież był w początkach, czy środku wielkiego, niepowtarzalnego w dziejach papieżstwa, pontyfikatu, nie naznaczonego jeszcze, tak jak później, cierpieniem i heroizmem. Był w sile wieku, zawsze uśmiechnięty, energiczny i fizycznie żywotny. Jako człowiek młody, reagowałem wtedy radośnie ale i trochę powierzchownie, głęboka refleksja z kim miałem do czynienia i z kim się spotykałem, zaczęła przychodzić dopiero z czasem, gdy sam doświadczyłem życiowego bólu i cierpienia. Odtąd spotkania z Ojcem Świętym zacząłem inaczej traktować i sam zabiegałem o nie z własnej wewnętrznej potrzeby, chcąc mu coś powiedzieć, o coś zapytać i podzielić się z nim własnymi radościami i smutkami. Takie już były pozostałe konfrontacje w cztery oczy z Janem Pawłem II. Podczas nich pragnąłem mieć choćby najkrótszą chwilę z nim wyłącznie dla siebie.

Spotkanie, o którym niżej, było już przeze mnie wcześniej zaplanowane, lecz nie wiedziałem czy możliwe będzie do zrealizowania. W pierwszych dniach ferii szkolnych, w lutym 1995 r. postanowiłem pojechać do Włoch, tym razem z żoną i córką Martą, która, wybitnie uzdolniona,

o fenomenalnej pamięci, miała swoje problemy, słabo rosła i istniała konieczność zdobywania dla niej nieosiągalnego w naszej sytuacji bardzo drogiego leku. Zwracałem się w tej sprawie do wielu osób za granicą i lek ten zawsze napływał (z Brukseli, Rzymu, Padwy, Triestu, Wenecji, Holandii). O problemie powiedziałem też najbliższemu przyjacielowi papieża, cudownemu i niepowtarzalnemu ks. prof. Tadeuszowi Styczniewi (zmarł w ubiegłym roku), który zabrał sprawę do Watykanu. Po niedługim czasie dostałem z Rzymu telefon, że lek wystarczający na pół roku terapii czeka na mnie u kardynała Fiorenzo Angeliniego, w owym czasie przełożonego Kongregacji do Spraw Służby Zdrowia przy Watykanie, redaktora periodyku „Dolentium Hominum Chiesa e Salute nel Mondo” i przełożonego z ramienia Stolicy Apostolskiej Szpitala Św. Ducha, który stał się wcześniej przedmiotem badań i tematem mojej pracy habilitacyjnej (*Dzieci porzucone w Szpitalu Świętego Ducha w Rzymie w XVIII wieku*, Lublin 1998).

Niezwykły zbieg okoliczności, ale ja tego kardynała wcześniej dobrze znałem z tytułu pełnionej przez niego funkcji, także z bezpośredniego spotkania, które miałem jesienią 1994 r. podczas stypendium Fundacji Lanckorońskich. Po odbiór leku pojechaliśmy we trójkę, z myślą osobistego podziękowania kardynałowi za bezcenny dar. Do spotkania doszło w jego siedzibie przy Via della Conciliazione. Później spotkałem się z nim jeszcze dwa razy w czasie krótszych, około dwutygodniowych pobytów w Rzymie w latach 1995–2001 przy okazji publikowania swoich włoskich artykułów w „Dolentium Hominum Chiesa e Salute nel Mondo”, periodyku wydawanym przez kierowaną przez niego kongregację. Nigdy się tego nie dowiem (nie pytałem), ale jestem przekonany, że w otrzymanie leku „zamieszany” był sam Ojciec Święty. Nie wierzę, by ks. Styczeń, jego uczeń i kierownik Katedry Etyki odziedziczonej po Karolu Wojtyła, który, jak powszechnie wiadomo, doradzał papieżowi i pomagał mu w redagowaniu tekstów przemówień, nie wspomniał swemu Mistrzowi o problemie Marty. W międzyczasie zwróciłem się do ojca Konrada Hejmo, który zajmował się organizacją indywidualnych spotkań Polaków i polskich grup pielgrzymkowych z Janem Pawłem II. Od niego zależało kto i jak blisko papieża się znajdzie. Ze względu na porę roku audyencja odbyła się w auli Pawła VI. My w trójkę usadowieni zostaliśmy na podwyższeniu auli, za fotelem papieskim, twarzą do zebranych, wśród kilkunastu lub trochę więcej osób, z którymi po zakończeniu audyencji



Ojciec Święty w trakcie osobistej rozmowy z Martą Surdacką, z tyłu rodzice, luty 1995 r.

Ojciec Święty osobiście w cztery oczy rozmawiał. Główny motyw i treść rozważań audiencyjnych dotyczyły chorych. Nadzwyczaj prywatna rozmowa z papieżem trwała około dwóch minut. Nie pamiętam naszych słów, żonie z ogromnego wzruszenia płynęły ciągle łzy, nie wiem co powiedziała, ja też nie pamiętam swoich słów, bo cały dialog przebiegał między Ojcem Świętym a Martą. Nie dowiemy się już od córki, o co ją papież pytał i co mówiła, może nam jeszcze to kiedyś przypomni i opowie, w co bardzo wierzymy. Ojciec Święty objął Martę za szyję, pochylił się nad nią, ucałował w czoło i cicho szeptał jej coś do ucha. Do końca życia zapamiętam jednak jego słowa, które usłyszałem: „Nie martw się, urośniesz, będziesz duża i szczęśliwa”. I spełniło się wszystko: urosła, wzięła ostatni zastrzyk, zakończyła kurację, widziałem, że jest szczęśliwa i wtedy 23 marca uległa wypadkowi,

a w dwa dni później w Święto Zwiastowania odeszła tam, gdzie jest lepiej. Zapewne tak, bo dzień po śmierci we śnie mi to powiedziała, otoczona gronem białych postaci ze skrzydłami, z boku z żyjącym jeszcze wówczas ks. Janem Wielgusem, który w dniu i momencie mszy pogrzebowej w kościele akademickim KUL, odprawianej 30 marca 2000 r. przez 33 księży pod przewodnictwem biskupa Mieczysława Cisło, siedział w konfesjonale i spowiadał uczestników pogrzebu. Później wyjaśnił mi swoją postawę, mówiąc mniej więcej te słowa: „Tylu księży przy ołtarzu, cóż tam było po mnie, ja mogłem jej dać tylko spowiedź świętą”. Taki był śp. ks. Jan Wielgus, którego traktowaliśmy z żoną jako najszczerszego przyjaciela. To on entuzjastycznie poparł mój pomysł ufundowania upamiętniającego, przydrożnego krzyża na Bęczynie.

Wracając do zasadniczego wątku, następne spotkanie

z Ojcem Świętym miałem zaszczyt odbyć w lutym 1999 r., podczas krótkiego pobytu we Włoszech. Sam do niego dążyłem, opublikowałem bowiem rok wcześniej monografię ufundowaną w 1198 r. przez papieża Innocentego III Szpitala Świętego Ducha, nazywanego arcyszpitalem papieskim (*archiospedale apostolico*). Przez stulecia kolejni papieże sprawowali nad nim patronat, kuratele, i taki status posiada szpital formalnie w czasach obecnych. Chciałem się więc pochwalić efektem swej pracy i ucieszyć tytularnego zwierzchnika szpitala, tym bardziej, że o pracy nad książką wcześniej go informowałem. Nie pamiętam, kto tym razem załatwił mi dostęp do papieża, jeśli nie ojciec Konrad, to biskup Cisło, z którym spotkałem się w domu polskim na Via Pfeifer. Chciałbym tu

dodać, że moja bliska znajomość z biskupem ma o wiele głębsze i dawniejsze korzenie, a wdzięczność do niego nie wypływa tylko z przewodniczenia ceremonii pogrzebowej najbliższej mi osoby. Ojciec Święty był autentycznie zaciekawiony wręczoną mu książką (fotografia na III stronie okładki). Tym razem to ja więcej mówiłem, opowiadając dzieje szpitala i motywy zajęcia się jego historią. Wyraził niejako zdziwienie, że Polak zajmuje się włoską instytucją i kurtuazyjnie rzekł, iż zapozna się z publikacją. Nie wiem czy potem miał ją jeszcze w rękach, ale nie jest to istotne. Dla mnie najważniejsze było, że mogłem Ojcu Świętemu podarować z własną dedykacją i życzeniami monografię instytucji, która przez stulecia była chlubą Stolicy Apostolskiej i stanowiła niekwestionowany wzorzec dla rozwoju innych tego typu instytucji. Byłem szczęśliwy, że książkę wręczałem papieżowi na okoliczność osiemsetlecia fundacji szpitala, stworzonego przecież dla potrzebujących i porzuconych dzieci, które Jan Paweł II zawsze i najbardziej kochał. Niebawem z Watykanu przysłano mi podziękowanie za przekazany dar, podpisane przez papieża. Tak na marginesie, w przeciągu czterech lat było to ostatnie spotkanie z Ojcem Świętym, podczas którego przyjmował mnie i rozmawiał na stojąco. Wtedy też nabrałem pewności, że mnie kojarzył i nie byłem dla niego osobą anonimową. Miał zresztą tak doskonałą pamięć, że trudno się temu dziwić.

Każdy z opisanych wyżej bezpośrednich kontaktów z Ojcem Świętym miał swoją niepowtarzalną atmosferę i treść. Wszystkie były bardzo ważne. Ostatnie jednak spotkanie miało dla mnie nadzwyczajne i symboliczne znaczenie z wielu względów. W przeciwieństwie do poprzednich, przepelnionych uśmiechem, radością i optymizmem, to odbyło się w głębokiej zadumie a nawet atmosferze swoistego bólu emanującego z obu stron. Miało niejako wymiar eschatologiczny i jak się później okazało było ono dla mnie pożegnaniem z ziemską obecnością (ziemskim jestestwem) Ojca Świętego, którego nie dane mi już było spotkać. Od ostatniego spotkania upłynęły zaledwie dwa lata, naznaczone dla mnie ekstremalnym doświadczeniem straty Marty, z którą wcześniej papież rozmawiał i życzył jej szczęśliwej przyszłości. W międzyczasie przebywałem ponownie we Włoszech na trzymiesięcznym stypendium Fundacji Lanckorońskich (styczeń–marzec 2001). Tuż po przybyciu do Rzymu uczestniczyłem w uroczystościach odbywających się na placu św. Piotra, kończących Rok Święty i obchody milenijne 2000 lat chrześcijaństwa. Do bezpośredniego spotkania z papieżem jakoś mnie nie ciągnęło. Potrzebę taką poczułem spontanicznie w końcu marca, tuż przed powrotem do Polski. Dosłownie na godzinę przed środową audiencją generalną, rozpoczynającą się w południe na placu św. Piotra, podjąłem decyzję uczestnictwa w audiencji i próbę dotarcia do papieża. Było to zadanie karkołomne i po ludzku niewykonalne, przecież cały plac był już wypełniony pielgrzymami i otoczony kordonem służb mundurowych, pilnujących przejść do najbliższych Ojca Świętego sektorów. Dostałem jednak jakiegoś pozytywnego amoku, potężnego ładunku energii i odwagi, z jaką chyba żołnierze idą do boju. Wiedziałem, że muszę

dotrzeć do papieża. Posłużyłem się wieloma argumentami: badacza szpitala św. Ducha (na wszelki wypadek wziąłem ze sobą książkę, którą potem podarowałem Bibliotece Watykańskiej), profesora KUL-u, znajomością ojca Hejmo, ale nade wszystko powołałem się na znajomość z kardynałem Fiorenzo Angellinim. Wymienianie nazwiska tego ostatniego otwierało mi kolejne przejścia i bramki, pilnowane przez służby porządkowe, które kontaktowały się z kimś za pomocą krótkofalówek. Kiedy byłem już bardzo blisko papieża i wymienilem nazwisko wspomnianego kardynała, strażnik powiedział „Io sono Angellini” („To ja jestem Angellini”). Tak właśnie się nazywał i prawdopodobnie był jakimś kuzynem watykańskiego dostojnika. Jeszcze jeden jego telefon i znalazłem się w najbliższym sąsiedztwie papieża z zapewnieniem, że będę mógł do niego podejść i porozmawiać. Tak wielka z mojej strony determinacja wynikała z pragnienia wylania przed Ojcem Świętym nurtujących mnie myśli. Szedłem do niego po ukojenie, chciałem się podzielić trudnymi i bolesnymi uczuciami z człowiekiem, który sam cierpiał i innego rodzaju ból odczuwał. Widać to było po wyrazie jego twarzy, siedzącej i skulonej postawie, drżącej dłoni, ułożeniu ust i braku dawnego uśmiechu, którego odmawiało mu jego ciało. Widziałem papieża bolejącego i współczującego, z którym rozmowa miała charakter generalnej spowiedzi, w czasie której spowiednik słuchał, ja mówiłem, a na koniec dał mi rozgrzeszenie i udzielił błogosławieństwa. Na początku powiedziałem, że straciłem córkę, którą wcześniej poznał, mówiłem, że błogosławił nasze małżeństwo i wielokrotnie później moje życie. Poprosiłem go o kolejne błogosławieństwo i modlitwę za rodzinę i najbliższych, podziękowałem za wcześniejsze spotkania. Byłem podczas tego spotkania smutny i nadzwyczaj wzruszony, bo też rozmowa dotyczyła spraw najbardziej osobistych, wręcz egzystencjalnych. Jan Paweł II z fizycznym trudem wyrażał jakieś głębokie i przesywające mnie myśli, będące odpowiedzią na moją sytuację. Nie potrafię ich wyrazić, ani odtworzyć, w tym najważniejszym dla mnie momencie zawiodła pamięć i ich nie zarejestrowała. Wiem tylko, że trzymając i całując jego drżącą dłoń, czułem inny sens tego gestu, wyrażał on wielki szacunek dla schorowanego i umęczonego ciała, stanowił on pożegnanie z Ojcem Świętym i podziękowanie za dar wcześniejszych spotkań, które dziś wydają mi się jakby były snem a nie jawą.

Na tym kończę być może najważniejszy tekst mego życia. W pierwotnym zamierzeniu miał być faktograficzny, jednak pisząc go, nie potrafiłem ustrzec się uczuć, emocji i refleksji, zapewne niekiedy rażących ewentualnego odbiorcę. Inny w moim wydaniu nie był chyba możliwy. Jego stworzenie traktuję jako swego rodzaju testament duszy, który musiałem wypełnić, mając możliwość przez blisko ćwierć wieku rosnąć, rozwijać się i starzeć w cieniu, a raczej blasku, tak Wielkiej i Świętej Osoby. Z dość bliska widziałem i obserwowałem dramat zamachu na jego życie, wyzdrowienie, proces starzenia się i fizycznego cierpienia. To wszystko widziałem na własne oczy.